



ZESZYT PIĄTY.

ROČNIK SZÓSTY.

## SZCZĘŚCIE KOBIECIE.

POWIEŚĆ

JANA ZACHARIASIEWICZA.

(CIĄG DALSZY)

Adelaida powstała, zbliżyła się do okna i wskazała ręką na małą, bielejącą się chatkę wieśniaczą, która jak białe widmo majaczyła w dalekiej, światłem księżycy oświeconej dolinie.

Olga przystąpiła do okna i oparła rękę na białym ramieniu Adelaidy. Adelaida mówiła dalej, jakby do własnych myśli:

— Dziwna ironia losu. Tam z tej chatki ubogiej patrzy może w tej chwili biedny mieszkaniec na jasno oświecone okna pałacu i zazdrości mu jego szczęścia... podczas gdy my ztąd zazdrościmy mu wzajem jego swobody, z jaką za szczęściem swoim iść może. Nie krępują go żadne względy, żadne prawa, żadne obowiązki!..

— Do czego to wszystko odnosisz? — zapytała Olga, położywszy i głowę na ramieniu Adelaidy.

— Do szczęścia człowieka!

— Najwyższem szczęściem jest — miłość!

— Jak dla kogo!

— Jakto? Gdyby serce twoje...

— Gdyby serce moje domagało się miłości, tobym wtedy przeszła wszystkie inne rubryki życia, a gdyby one z tą miłością się nie zgadzały, nakazałabym sercu — milczenie!

— I serce mogłoby zamilknąć?

— Musiałoby zamilknąć, bo jego szczęściem nie są my-

dlane bańki marzenia, ale zaspokojenie tego wszystkiego, czego życie od nas i nasze stanowisko wymaga.

— O miłości mam inne wyobrażenie.

— Miłość jest to urocza, czarodziejska lampa, którą stawiamy na stole salonu. Kunsztowne jej światło będzie stracone, jeżeli nie będzie miało w salonie co oświecać, lub oświeci jaskrawo stare połamane rupiecie, świadki nędzy i ubóstwa!.. Taka lampa razi nas wtedy, stokroć lepsza ciemność, chociażbyśmy całe życie w tej ciemności przepędzić miały!..

Olga wyprostowała się i odrzekła:

— Inaczej pojmuję miłość. Nie jest ona ani kandelabrem sześcioramiennym, ani lampą chińską, kunsztownie wyrzeźbioną, ale jest poprostu płomykiem, który tak samo daje światło salonowi, jak łuczywo ubogiej chatce. Wtedy stosownie do płonącego ogniska grupuje się wszystko. Otóż według mego zdania, miłość jest środkowem ogniskiem życia, wkoło którego całe nasze życie się urabia i grupuje. Urobić sobie jednak naprzód całe życie, i potem do tego gotowego już życia szukać owej kunsztownej lampy, którą miłością nazywasz, to znaczy utrudniać sobie drogę do szczęścia, a nawet często rzec się go wcale. Miłość nie czeka nas w pewnym, upragnionem przez nas oddaleniu, spotykamy ją nagle wśród życia, a znalazłszy musimy



wszystko do niej zastosować, siebie i całe życie nasze. Wtedy będzie ona prawdziwą, nie będzie rezultatem kunsztownych naprzód obliczeń, jak n. p. wskutek dobrze wyrachowanych kółek maszyny.

— Jesteś zapamiętałą idealistką!

— Wierzę, że całe urządzenie świata zasadza się na ścisłych obliczeniach chemii, matematyki i geometrii, ale żadna z nich świata nie stworzyła. Zastosowanie miłości do życia może być rozmaite, ale sama ona jest czemś nieujętem, nieokreślonem, nikt nie wie, gdzie się zaczyna a gdzie kończy. Kto jej prawa zaprzecza, ten prędzej czy później gorzko to odpokutuje.

Adelaida odsunęła się od Olgi przy tych słowach i z uwagą patrzyła na nią. Twarz Olgi była ożywiona, oczy błyszczały blaskiem nadzwyczajnym.

Olga spostrzegła badawczy wzrok Adelaidy. Zarumieniła się i lekko głowę pochyliła na piersi.

— Jesteś dzisiaj w niezwykłym usposobieniu — rzekła Adelaida — nie wiem, co ci dało powód do tego.

— Twoje słowa, kochana Adelo — cicho wyszepnęła Olga.

— Dla czegoż moim słowom nadajesz tyle wagi?

— Bo one oderwały się od czegoś, co ukrywasz przedemną.

— Jabym przed tobą miała co ukrywać?

— Posądzam cię o to.

— Nie rozumiem cię.

Olga odetchnęła pełną piersią, jakby odwagi nabrać chciała, odpoczęła chwilę i rzekła rzucając się jej na szyję:

— Zasmuciła mię myśl, że ty coś przedemną ukrywać możesz. Czy ty nic nie ukrywasz?

— Nic nie ukrywam — spokojnie jak posąg odpowiedziała Adelaida — mogę ci wszystko powiedzieć.

— Czy w tych dniach nie uległaś jakiemu wrażeniu?

— Nic nie zaszło, coby na mnie sprawiło jakie szczególne wrażenie.

— Czy Edmund...

Adelaida rozśmiała się z ironią, usta jej zadrżały.

— Cha, cha, cha! Czyś sądziła, że się zakochała? Czyżby to być mogło, abym bez względu na moje położenie szła za pierwszym, lepszym światelkiem, które nam naszą samotność oświeci? Czy to zresztą być może... nie, to być nie może, w żaden sposób nie może! Edmund jest prawie bez żadnego majątku, a ja —

— Więc nie mogłabyś go kochać?

— W ten sposób, jak ty miłość pojmujesz, nigdy!

Olga zacisnęła teraz na szyi Adelaidy ręce swoje, uściskała ją i ucałowała z uczuciem gorącym.

— Za co mię tak serdecznie całujesz? — zapytała z uśmiechem Adelaida.

— Za to... że jesteś dla mnie otwartą i szczerą przyjaciółką — odpowiedziała rozpromieniona Olga.

— Przecież sama to mogłaś przewidzieć — mówiła Adelaida dalej — Edmund będąc sam niebogatym, musi kogoś szukać z majątkiem znacznym...

Tych słów nie słyszała już Olga. Lekkie skrzypnięcie drzwi w oddalonych pokojach dało się słyszeć, przerywając nagle rozmowę.

Adelaida wzięła Olę za rękę, i obie cicho, na palcach zbliżyły się do pobocznego pokoju, przez który szło się do tak zwanej galeryi obrazów.

Drzwi do tej galeryi były napół otworzone. Adelaida zbliżyła się do tych drzwi.

W głębi dużego pokoju stał staruszek w oliwkowym surducie ze świecą w ręku. Na ścianach wisiały olbrzymie stare obrazy, pomiędzy którymi najjaskrawiej odbijał diabeł w czerwonych szatach.

Staruszek smutno obszedł cały pokój dokoła, patrząc po obrazach. Najdłużej zatrzymał się przy malowanym diable. Diabeł kontent był z tej admiracyi, bo zęby wyszczerzał i uśmiechał się do niego.

— Patrz, to mój ojciec! — rzekła półgłosem Adelaida do Olgi — przyśnił mu się zapewne Rubens lub Rafael, i wstał, aby swój sen sprawdzić. Niestety, to był sen tylko!.. Biedny, on marzy, że jutro lub pojutrze znajdzie Rafaela lub Rubensa... czy wiesz, do czego zmierzają jego marzenia? On myśli, że na tej drodze przyjdzie znowu do bogactwa!.. Biedny! Czyż mogłabym lekkomyślnym krokiem z mojej strony zostawić go w tem ubóstwie?.. Nigdy! Nigdy!

Zdawało się, że w tej chwili czerwony diabeł otworzył szerokie usta swoje i powtórzył jej słowa: Nigdy, nigdy!

I Oldze zdawało się, że echo złośliwe powtórzyło te same słowa, gdy jakieś rokoszne marzenia przebiegły jej przez serce.

Starzec powolnym krokiem oddalił się z galeryi, zamknąwszy drzwi za sobą. Adelaida i Olga w milczeniu wróciły do pokoju z księżycem i cytrą na stole.

## ROZDZIAŁ VII.

Po tej scenie i rozmowie w pokoju z księżycem i cytrą, płynęły w pałacu dni na pozór spokojne i jednostajne.

Na folwarku zaczął się także nowy tryb życia powoli porządkować. Wszystko wracało z długiego letargu do życia, jakie zazwyczaj nadaje całemu gospodarstwu nowy właściciel i gospodarz.

Generalny pełnomocnik Edmunda, Mirski, był tutaj nadzwyczaj czynny. Więcej jednak, jak to widać było, zatrudniał się zewnętrzną stroną gospodarstwa, jeździł wiele po sąsiedztwach i miasteczkach, szukając niby środków i odpływu przyszłej produkeyi.



Jakkolwiek ruchliwość i plany Mirskiego zdradzały nadzwyczaj obszerny zakres gospodarki, uderzało jednak, że w dworku folwarcznym pozostawiano prawie wszystko w dawnym stanie, jakby na długi, stały pobyt tutaj bynajmniej nie liczono. Wszystko, cokolwiekby nawet robiono, miało na sobie cechę tymczasowości. Stare meble pozbierano ze strychu, pozbijano i sklejonę, jak się dało. Stolarz z małego miasteczka uzupełnił resztę. Nie było tam mowy o jednakowym garniturze, o nowych fasonach ani modnym pokryciu. Stare jasionowe łóżko przypominało wiek prababuni, sofka i krzeselka, pokryte włosienią tkaniną, miały prostotę spartańską. Ściany, wapnem wybielone, były wprawdzie czyste i dawały wiele światła, ale raziły jednostajnością barwy. Całą ozdobą tych ścian był ładny perski dywan, rozwieszony nad łóżkiem. Na tym dywanie zgromadził nowy dziedzic wszystko, co miał najlepszego. Była to broń rozmaitego gatunku, pałasze, dubeltówki, pistolety różnego kalibru i dwa kindżały misternej roboty, pochodzenia widocznie wschodniego.

Całe to mieszkanie wyglądało raczej na kwatere żołnierską, niżeli na przybytek agronoma. O nowożytnym komforcie nie było tam ani mowy. Zdawało się, że nowy właściciel nie uważał tego domku za stałe mieszkanie swoje, ale raczej za stację swoich dalszych losów.

Jeszcze więcej pozorów tymczasowego obozowiska nadawał całemu temu domowi pokój Mirskiego, pełnomownika i ekonoma nowego dziedzica. Nie było tam nic, zgoła nic, coby jakkolwiek wygodę mieszkańca przypominało. Prosty siennik leżał przy ścianie nakryty kocem węgierskim, a koło niego stało stare krzeselko o trzech nogach, ze świecą włożoną w szyjkę kamiennej bańki z wody mineralnej.

Domowa służba, składająca się z kucharki, furmana, który zarazem był lokajem, i kilku parobków, była tego przekonania, że Edmund ma gdzieś inne dobra, a tutaj tymczasowo zagościł, aby gospodarstwo jako tako w ruch puścić, które po wieloletniej dzierżawie było bardzo zaniedbane.

W tem mniemaniu utrzymywały służbę różne rzeczy, które się działy na folwarku. Ekonom Mirski robił codziennie jakieś wycieczki w okolicę i do miasteczek, zwoził nawet w czasie nieobecności dziedzica różne osoby do dworu, traktował je strawą i napitkiem, i długo rozmawiał o interesach. A gdy Edmund z pałacu do domu wrócił, wtedy ze stoczkiem w ręku wchodził do niego i przy drzwiach zamkniętych zdawał mu, jak się zdawało, raport ze swoich codziennych czynności.

Uderzało to wprawdzie niektórych ze służby, że Mirski tylko wtedy miał gości, gdy dziedzica w domu nie było, ale tłumaczono to sobie bardzo naturalnie, że każdy oficyalista najczęściej wtedy gości swoich raczy, gdy dziedzica w domu nie ma.

Edmund patrzył na to wszystko obojętnym okiem, czy raczej tego wszystkiego nie widział lub widzieć nie chciał.

Często jednak był rozdrażniony, i zdawało się, jakby go jakaś gorączka paliła. Spraw gospodarskich słuchał głuchym uchem, parobkom dawał często odpowiedź nie stosowne, lub pytał się o rzeczy, o których już dawno zapomniano.

I to wytłumaczono sobie w sposób bardzo prosty. Powiedziano sobie, że dziedzic codziennie do pałacu jeździ i że prawdopodobnie chce się tam ożenić.

Edmund rzeczywiście codziennie bywał teraz w pałacu, bo jakoś czuł tego potrzebę. Po każdej konferencji z Mirskim był mocno rozdrażniony, jakby miał w sobie trawiącą gorączkę. Wtedy najczęściej nie spał w nocy, rano wychodził bez śniadania na pola i długo chodził po błocie i lasach, jakby był głęboko nad czemś zamyślony. Czoło jego wyniosłe wtedy dopiero rozjaśniało się, gdy kazał konie zaprzęgać i do pałacu jechał.

Przy takim życiu, pełnem niepokojów, upragnioną była mu atmosfera pałacu. Zdawało się, że wszystkie niepokoje zostawiał za progiem tego czarodziejskiego zamczyska, gdzie go czekała dowcipna i mile szeleszcząca rozmowa z kuzynką, i gra na cytrze po mistrzowsku wykonana przez Olę.

Edmund był teraz rzeczywiście w usposobieniu wyjątkowym. Wiadomość tego, co w najbliższej przyszłości stać się miało, budziła w jego duszy ciągły niepokój i wszystkie jej struny trzymała w ustawicznym naprężeniu. W takim stanie budzą się wszystkie siły człowieka i dochodzą do wysokiej potęgi. Każde wrażenie odbywa się inaczej, uderza silniej, niżeli w stanie normalnym. Im niebezpieczniejszą jest sytuacja, tem silniejszą żądza użycia tego wszystkiego, co nam zwykle życie dać może.

Edmund w najbliższej swojej przyszłości widział pewną metę, poza którą była straszna ciemność, czarna, nieprzebita opona. Co mogło być za tą oponą? nie mógł odgadnąć. Mógł być dzień jasny i słoneczny, ale mógł być także cmentarz i cisza grobowa...

Ta niepewność budziła w nim życie podwójnie, a wraz z tem życiem odzywały się podwójnie wszystkie struny duszy i serca.

Był to stan dla wrażeń bardzo przyjaźny, a takich wrażeń doznał Edmund zaraz na wstępie w pałacu.

O swojej kuzynce już dawno słyszał, że jest rzadkiej piękności. Znał ją dzieckiem, i czasem choćby tylko dla rozrywki umysłu, starał się odtworzyć jej rysy i wyobrazić ją sobie taką, jaką jest dzisiaj. Jakkolwiek wyobraźnia pochopną jest do idealizowania tego, czego pragniemy, widok jednak Adelaidy zostawił daleko za sobą wszystkie owe konterfekty, które sobie był potworzył w wyobraźni.

Adelaida więc już zaraz na wstępie sprawiła na nim



wrażenie korzystne. Rozmowa jej, w której odsłoniła przed nim bolejące serce, dokonała reszty. Edmund wrócił do domu zamyślony i długi czas nie mógł się uspokoić.

Druga wizyta zdarła mu trochę złudzenia. Adelaida wydała mu się zimną artystką, która otruwszy się z rozpaczy i umarłszy, powstaje z martwych, aby klaskającej publiczności za aplaus podziękować. Tak o niej myślał wtedy, gdy mu dała do poznania, że jest biedny, radząc mu bogate ożenienie się. Ale ta myśl była tylko skutkiem pierwszego bólu, jaki poczuł; bo gdy do domu wrócił i nazajutrz o pałacu pomyślał, zdawało mu się, że Adelaidzie krzywdę wyrządził, i że słowa jej mogły być przypadkowe, bez żadnej ukrytej myśli. A gdy nad tem dłużej się zastanowił, przyszedł do przekonania, że właśnie te słowa były dla niego bardzo wiele znaczące, bo wyrażały ni mniej ni więcej, jak tylko skargę zbolełego serca, że ona może dla niego nie jest dosyć majątną.

Gdy w ten sposób sobie rzecz wytłumaczył, pospieszył Edmund z trzecią wizytą i z dobrą nadzieją. Nadzieja ta jednak nie odnosiła się do otrzymania natychmiast ręki Adelaidy, bo o tem Edmund w tej chwili nie myślał. Chciał poprostu kochać i być kochanym. Takiego uczucia potrzebował teraz koniecznie, bo ono dopełniało mu te siły, jakich w tej chwili wymagało od niego życie, postawione na tej wyżynie. Resztę pozostawiał przyszłości.

A gdyby takie uczucie był znalazł, jakże byłby szczęśliwym! Miałby powiernika niepokojów swoich, które go trapiły, a które rzucały nań światło tak piękne! On byłby temu powiernikowi wszystko powiedział, byłby mu odmalował jaskrawemi barwami swoją niepewną przyszłość, pełną niebezpieczeństwa i groźnych obrazów, a wtedy uczulby na swojej piersi szybko bijące serce powiernika, i słuchałby tego bicia z taką rokoszą, z takim zachwyceniem!..

Adelaida i teraz nie chciała być tym powiernikiem. Zimna i piękna, jak posąg z marmuru stała przed nim, pozwalala mu zachwycać się misterną draperią szat swoich, okrągłością ramion i prześlicznym profilem twarzy swojej, ale serce jej milczało, a usta umiały tylko dowcipnie do niego przemawiać.

Edmund czuł przyjemność przy niej, słuchał jej rozmowy pełnej uroku i świetności, i zdawało mu się, że prędzej lub później rozgrzeje się piękna Galatea, i zimny, piękny marmur stanie się kobietą. Czwarta, piąta i szósta wizyta przeminęła, a cudowna Galatea stała jeszcze ciągle na postumencie, na którym ją artysta ustawił.

Zrazu, jakby dla podrażnienia kamiennej kobiety, przysuwał się Edmund do Olgi, rozmawiał z nią długo, a nawet prosił o zagranie na cytrze.

Adelaida przyjmowała to wszystko obojętnie. Słuchała razem z Edmundem gry Olgi ze znudzoną miną królowej, dla której to wszystko się dzieje. Ani jej przez myśl nie

przeszło, że właśnie w tej chwili królewskie hołdy za nią odbiera Olga, i że takie hołdowanie może się z czasem dla jej korony stać niebezpiecznem. Zdawało się, że była tak pewną siebie, iż podobnego niebezpieczeństwa nawet widzieć nie mogła. Wiedziała dobrze, czem jest dla Edmunda, a to jej wystarczyło, bo sama nie chciała być mu czemś więcej.

— On mnie kocha — mówiła nieraz z uśmiechem do siebie — ale z takiej miłości cóż może być? Nie mogę być jego żoną, bo nie ma takich warunków, jakich koniecznie potrzebuję.

Być kochaną, jest czasem dla kobiety zupełną rokoszą, chociażby nawet sama nie kochała, ale do uzupełnienia tej rokoszy potrzeba zawsze trochę sofisteryi.

On mnie kocha — mówi panna, która bez miłości za mąż idzie — jest zacny i pocziwy, czyż to nie wystarcza?

Adelaida nie potrzebowała nawet takiej sofisteryi, bo za Edmunda nie wychodziła za mąż. Wprawdzie drgnęło jej serce w pierwszym dniu zaraz, ale powiedziała mu, że takie uczucie nie wchodzi w plan jej życia, i serce przekonane takim dowodem zamilkło. Nie byłoby to może nastąpiło, gdyby zaraz potem nastąpiła dawna cisza grobowa, dawna jednostajność życia w pałacu. Możeby to serce nie dało się uciszyć, może rozpoczęłoby walkę z głową, i kto wie, czy po jakimś czasie nie byłoby nad nią odniosło zwycięstwa. Ale życie w pałacu miało teraz pewną rozmaitość. Edmund przyjeżdżał codzień, codzień rozmawiał z Adelaidą, przechadzał się po ogrodzie, a potem u wspólnego stołu pił herbatę. Jego codzienne wizyty nie mogły nic innego oznaczać, jak tylko, że się w niej kocha, że ją adoruje, że bez niej żyć nie może.

Sprawiało to Adelaidzie pewną przyjemność, bo wiedziała, że poza rezygnacją swoją nie straciła jednak tego człowieka. Dalej ponad tę przyjemność nie myślała Adelaida, bo była pewną, że z jej strony nic a nic jej nie obowiązuje, że w razie potrzeby może nawet z zdziwieniem odrzucić możliwe pretensye Edmunda, utrzymując, że nie tylko zachowaniem swoim nie dała mu otuchy do tych pretensyi, ale nawet wręcz mu oświadczyła, że nie będąc bogatym, nie może o nią się kusić, ponieważ ona także bogactwa potrzebuje.

Taką subtelną sofisteryą uspokoiła się Adelaida, i przyjmowała prawdopodobne uczucie Edmunda z rokoszą kobiety, która przecież nikomu nie może zakazać, w niej się kochać, chociaż go sama nie kocha, i wyraźnie nawet dała mu to do poznania.

Ubezpieczywszy więc swoje sumienie, miała Adelaida chwilową rozrywkę, w której najmniejszego przewinienia nie widziała. Poszła ona w tym względzie za przykładem wielu kobiet, które nawet się dziwią, jeżeli ludzie takie postępowanie za złe im biorą.

Adelaida przyjmowała kuzynka zawsze z uśmiechem



pewnego zadowolenia, bo ten kuzynek przynosił jej serce, które ją kochać miało; ścisnęła go trochę inaczej za rękę, niżeli to zwykle się dzieje, ależ on był jej kuzynkiem, a w takim razie wiele rzeczy inaczej się robi. Często nawet, jakby przez roztargnienie, dając komuś trzeciemu jakąś odpowiedź, zatrzymała jego rękę w swojej ręce, i trwało to czasem dosyć długo.

Gdy wiedziała, o jakiej godzinie przyjedzie, ubrała się na tę godzinę daleko staranniej, i dłużej niżeli zwykle wpatrywała się w weneckie zwierciadło. Jej poza na koczce była czarująca, jej ruchy, gdy przez salę przechodziła, równały się wdzięcznym ruchom natchnionego tańca, spojrzenia ciemnych oczu miały zawsze tyle życia, ile na codzienną potrzebę zazwyczaj nigdy nie szafowały.

Wszystko to zwyciężało, przyciągało, podbijało; tylko usta, zimne, marmurowe usta miały wprost temu wszystkiemu zaprzeczyć. Była to gra rokoszna, która drażniła, ale na którą nie zgoda się nie stawiało, i żadnego obowiązku nie było do zapłacenia przegranej.

Jeżeli Edmund złudzony czasem tem, co widział, z jakim słowem się odezwał lub zachowaniem się swoim chciał odpowiedź wywołać, wtedy stawał nagle przed nim kamienny posąg Adelaidy i mroźnem zimnem zmazywał wszystkie jego marzenia.

Kilkakrotnie w ten sposób odprawiony zbliżył się Edmund w inną stronę, chociaż to czynił więcej instynktem zranionego serca, niżeli z planu z góry powziętego.

Olga przyjęła gościnnie zbliżającego się i umiała go przytrzymać. Miała dla niego tyle łakoci, tyle cacek nabywała sobie ze swoich wędrówek idealistycznych, umiała na cytrze zawsze tę arya zagrać, o której on w tej chwili myślał, i o tem wcząć rozmowę, co właśnie grało w jego duszy, że Edmundowi jakoś nie źle z tem było, i coraz

częściej szukał u gościnnej sąsiadki pociechy, jakiej mu piękny ale zimny posąg odmówił.

Adelaida nie przywiązywała do tej pociechy wielkiej wagi. Olga była wprawdzie jej przyjaciółką, towarzyszką życia, ona ją kochała i mogła nawet wiele dla niej zrobić, ale w stosunku do siebie uważała ją za coś tak małego, jakby tutaj nic nie stanowiła i była tylko jej przyczepką. Nie powstało więc żadne podejrzenie w jej duszy, że Olga mogłaby z czasem zwrócić adoracją Edmunda na siebie i wziąć jej to jedyne szczęście, które jej po rezygnacji innych uczuć zostało.

Jednakże na horyzoncie tego jasnego światła zaczęły się uwidatniać jakieś małe, nieznaczne chmurki, z których powoli tworzyły się brzydkie, nie mile chmury.

Adelaida spostrzegła, że dla Edmunda coraz więcej traci uroku. Nie tylko, że coraz mniej z nią rozmawiał, ale w rozmowie nawet był zbyt krótki, i widocznie skracał ją dlatego, aby do Olgi się zbliżyć, czy ona grała czy malowała.

Jakieś przykre niezadowolenie zbudziło się w duszy Adelaidy. Poraz pierwszy w życiu spostrzegła, że obok niej może być jeszcze inna kobieta, która jej rolę tak samo odegrać może.

Kobietą tą była Olga. Zrazu uczuła Adelaida jakieś dziwnie nieprzyjemne uczucie dla Olgi, oskarżając ją o niewdzięczność. Wszak ona stała się tylko przez jej dobrodziejstwo tem, czem jest dzisiaj, bez tego dobrodziejstwa byłaby może szwaczką lub kucharką, a najwięcej żoną leśniczego, jak o tem marzył stary Burski. W pierwszym gniewie poczytała jej nawet to za zbrodnię, że Edmunda przygarnęła do siebie, chociaż sama przecież względem niego nie miała żadnych planów.

(Ciąg dalszy nastąpi)

## L o t e r y a.

### I.

Świt zajął w ciemną izbę i pierwszym promieniem  
Z rzemieślnika otwartem spotkał się spojrzeniem.  
Dziecko z matką w śnie twardym spoczywało jeszcze.  
Rzemieślnik wstał posępny, zimne czując dreszcze,  
Spojrzał na zgasłe dawno w kominie zarzewie,  
Na biały śnieg za oknem, i otrząsł się w gniewie;  
Potem koło warsztatu błędnem okiem zmierzył  
I przeniósł wzrok na bladą na łóżku kobietę,  
Na dziecko ciałem matki od zimna okryte,  
I w szeroką pierś ciężką ręką się uderzył.  
W zanadrzu zbudził szelest jakiś... i drgnął cały,  
Z gorączkowym pośpiechem wyjął świstek biały,

Liczbami zapisany, i wzrok mu złagodniał;  
Wyprostował się żywo, twarzą wypogodniał  
I ku drzwiom się posunął... z uśmiechem na licu...  
Nagle jednak przystanął i spojrzał na łóżko.

Dziecko było jak kwiatek blady — przy księżycu,  
Znać zdawna ledwo chleba żywione okruszką;  
Z czarniejszemi piętami pod błękitnem oknem,  
Od włosów, co mu na twarz spłynęły potokiem;  
Bez dołków, bez tych puszków, jakby nad brzoskwinia,  
Które dzieci podobne do aniołków czynią;  
Przedwcześnie zestarzałe; znać z nędzy przepadło;  
Z piersią bardziej wychudłą i bardziej zapadłą,



Niż pierś matki zakłęśła ciężkiem odetchnieniem.  
Kobieta przez sen dziecko tuliła ramieniem,  
O palcach zaostzonych, jak zwierzęcia szpony;  
Nad nimi snu nie latał anioł oskrzydłony,  
Lecz zmora bezsilności i gorączki siła  
Gniotąc ich, mieszanemi słowy z nich mówiła.  
Rzemieślnik słuchał słów tych i chmurniał nanowo...  
Może jego sumieniem wstrząsnęło które słowo;  
Może pamięć dni przeszłych w duszy obudziło,  
Dni z pracą i dostatkiem!.. teraz pod mogiłą.  
Wrócić do nich — zapożno... Zresztą czyż wydoła?  
Żonę już anioł śmierci cichym głosem woła,  
Na dziecko, ostrząc zęby, czycha śmierć głodowa...  
Za nic praca!.. los jeden może ich zachować!..

— „Pracować!.. Każdy kęsek grubym potem zlewać,  
I kłaść się i od jutra nic się nie spodziewać!  
I nędzy mdlejącemi broniąc się rękami  
Wciąż widzieć ją stojącą twardo przede drzwiami;  
I widzieć, jak ta blada i cicha kobieta  
Chyli się, wieczną troską o życie zabita,  
Codziennie głębiej w jamę sunąc się grobową,  
Codziennie, co skończyła, wczynając nanowo!  
I spadek taki dziecku biednemu zostawić,  
Odejść i nieposażne w to życie wyprawić,  
Rodzicom swym podobne z doli i pogrzebu,  
Zaprzędane jak oni powszedniemu chlebu!..

Praca!.. O karmicielka skąpa i bez duszy!..  
A tyłu wpośród wiecznej niedzieli się puszy,  
Wpośród dziełek rumianych, co z rzewną rozpaczą,  
Że ciastka zjeść nie mogą, zasyczone płaczą!  
Tylu na żon ramieniu wspartych utoczonym  
Ucztuje, przyjacielskiem okrążonych gronem,  
Tyle karet cię toczy z wspaniałym łoskotem,  
Tyle świeci pałaców bryzgających złotem,  
Tyle Hiobów wczorajszych budzi się z barłogu  
Do stosów złota, na ich spadających progu!..  
I któż tych ponasycał, i któż tych z bogacił?  
I któż tych niepłaconych odrazu zapłacił?..  
I czyż ręką wzniosła tych pałaców czoła?  
Kto zmienił te barłogi w skarbnice bezedna?...  
Ach, jeden tylko obrót fortunnego koła!  
Ach, jedna tylko cyfra... drobna cyfra jedna!..

Praca!.. O słowo głupców... o tchórzoskie słowo!..  
Wrócić do niej?.. Co? teraz powrócić na nowo?  
Kiedy tyle już ważył i już razy tyle  
Szczęście chybił o kreskę, o mgnienie, o chwilę...  
Wrócić teraz!.. Nie, nigdy!.. Wszystko los mu wróży:  
Nędza, która przeciągnąć się nie może dłużej,  
Wytrwałość... sny pomyślne i przeczucia wieszczę...  
Postawi znowu dzisiaj... raz ostatni jeszcze,

Choćby przyszło wyżebrać, choćby podjąć z błota  
Na tę stawkę ostatnią śmierci lub żywota!  
Postawi... tak... bo dzisiaj szala się przechyli,  
I stanie się na jawie, o czem nie marzyli!..“

Tak szeptał już widział, czego tak pożądał,  
Dotykał się rękami, oczyma oglądał,  
Nie wątpił już, nie chmurniał... mgła jakaś różowa  
Nędzę, żonę i dziecko mu przed okiem chowa.  
Ścisnął papier wyroczny w palającej dłoni,  
Idzie i myślą, kroki wyprzedzając, goni,  
Uderzył w kłamkę, hardo patrząc dookoła,  
I stanął niecierpliwy: z izby ktoś go woła:  
— Odchodzisz?..

— Zaraz wrócę... puść mnie... wiem co trzeba...  
— Nic dla mnie... lecz dla dziecka chleba...  
— Nie mam chleba!

Pójdę poszukać...

— Kłamiesz!.. głos się tobie mieni.  
— Puść mnie! przyniosę...  
— Idziesz!.. Jesteśmy zgubieni...  
Ty znowu do kantoru...

— Raz ostatni, żono...  
Kobieta się podniosła z twarzą, rozżarzoną  
Płomieniami gorączki i świętego gniewu...  
Już dawno żal w niej czekał na chwilę wylewu,  
Teraz ta burza cierpień, w jej duszy gotowa,  
Takie z piersi dyszących wydarła jej słowa:

— Nieszczęsny!.. Raz ostatni!.. Ileż takich było!..  
Rzuciłeś pracę sytą i spokojność miłą,  
Rzuciłeś dobrą sławę i domową zgodę,  
Rzuciłeś chleb powszedni, swoją sól i wodę,  
Rzuciłeś wszystkie skarby nasze po kolei,  
Wreszcie i życie moje — w otchłań swych nadziei!..  
Przeklęty dzień, gdyś zaczął... Szatan twoją rękę  
Pochwycił i w piekielną popadłeś paszczkę...  
Wszystko poszło... za długom już cierpliwa była!..  
Dzisiaj, słuchaj, jeżeli dusza twoja miła,  
Nie daj skonać dziecięciu... bo jeżeli skona,  
Z grobu przyjdę rachunku żądać, zrozpaczona,  
I w godzinę skonania, już w anielskiej bieli,  
Stanę z dzieckiem zabitem u twojej pościeli! —

Tu padła i złowieszczym kaszlem się zaniosła.  
On milczał. Dzika wściekłość w sercu jego rosła,  
Wściekłość gracza, i maską choć przykryta szczelną  
Twarz jego walkę uczuć zdradzała piekielną.  
Wreszcie szepnął ponuro:

— Cóż pocznę? gdzie ruszę?  
Nie mam grosza...

Kobieta podniosła wezgłowie



I z węzłka wyjęła jakieś grosze wdowie:  
— Masz, rzekła, daję tobie w ręce dziecka duszę!..

W tej chwili smutne dziecko otworzyło oczy.  
Na twarzy jeszcze miało ze snu blask uroczy,  
Na ustach uśmiech jakiś radości niewinnej,  
I wyraz w ciemnych oczach od zwykłego inny...

— Ojcie — rzekło, zwracając doń twarzyczkę bladą —  
Czy naprawdę dziś do nas liczni goście zjadą?  
Gdzieś podział złoty pieniądz, coś mi do rąk dawał,  
I strój kapiący złotem, jak masek w karnawał?  
I rumiane jabłuszko, któreś mi darował  
Do zabawy... Mój ojcie, gdzieś to jabłko schował?...  
Daj mi ten złoty pieniądz... ten strój... lub mój miły,  
Schowaj wszystko napotem.. a daj mi jabłuszko,  
Bawić się nie chcę... zjem je... bo mi braknie siły...  
I rączęta spragnione wyciągnął przed łóżko...

Na chwilę, rozbudzona żądzą i marzeniem,  
Powróciła mu krasa lica z ocz płomieniem;  
Pod zsuniętą koszulką, wychudzone ciało  
Dreszczem żywej nadziei gwałtownie zdrzątało;  
Kłęknał z gestem błagania na pościeli słomie  
I usteczka spieczone odwilżył łakomie...

Kobieta przez łyzy gęste i przez łkania tamę  
Spytała, nad tą głową schylając się miłą:  
— Gdzieś to widział?...  
— Gdzie?... We śnie... Teraz mi śniło...

I spojrzała na męża. Miał na twarzy plamę  
Rumieńca, oczy, jakby mgłami zadymione,  
Martwe, jakby je w siebie patrząc obrócił;  
Nie znać było co myślał: cierpiał, czy się smucił...  
Nagle zerwał się hyżym skokiem i posunął,  
Jak lunatyk, szeptał... sen... dostatki... złoto!  
Jabłko... to jest czterdzieści trzy... i we drzwi runął.  
I za progiem skrzypnęło zamrażnięte błoto.

## II.

Pożną nocą ktoś skradał się pod drzwi lepianki,  
Popróbował, pchnął mocniej, a ciężko oddychał  
I lękliwie szedł, jakby z północnej hulanki;  
Wszedł i sprzęty ostrożnie rękami odpychał...  
Księżyc świecił: jak we dnie było w izbie biało.  
Człowiek przystąpił, w łóżko patrząc nieśmiało,

Schylił się... drgnął... znów stanął i natężył ucho,  
Pochwycił się za głowę... jęknął z piersi głucho,  
Odskokzył i wraz całym skoczył naprzód ciałem...  
— Żono! — wyrzekł błagalnie — przebac mi, przegrałem

I słuchał... Cisza była głęboka... ni słowa,  
Tylko z dworu jęczała wietrzna noc zimowa...  
Zatrząsał się i pieszczenie szepnął:

Chcesz mnie skarać!..

Słusznie... lecz słuchaj... odtąd już się będę starać...  
Rzucę szaleństwo... szczęście wróci. —

Wstrzymał tchnienie

I słuchał... Skrzyp kołatka przerywał milczenie  
I zdał się odpowiadać tajemniczym echem.  
Człowiek drgnął... lecz wraz parsknął przymuszonym  
śmiechem...

— Psotniki — krzyknął — straszą... No skończcież te żarty!  
Poprawię się, przysięgam... nie jestem uparty...  
Wrocę do pracy... Urok przeklęty już pęknął...  
No, dzidzi, jedno słówko... Żono! —

Nagle jęknął

Głosem straszniejszym, niżli ludzka na to mowa;  
Prawdy jasność zalsniła przed nim piorunowa,  
I wszystko razem zgasło!.. A pod owym cieniem  
Oczy jego obłędu zabłyśły płomieniem,  
Rzucił się, porwał żonę ramieniem zuchwałem  
I trzęsąc nią zaryczał ze łkaniem:

— Przegrałem!..

I znowu chwycił dziecię i straszniej zakrzyczał  
— Przegrałem!..

Odjął ręce, i dwa trupy boże

Bez szelestu się sztywnie zsunęły na łożo...  
Postał chwilę, a potem wzrok mu boleśń żdziczał;  
Przeszedł smugę miesięczną ze spokojnym szalem  
I wyszedł powtarzając chrapliwie...

— Przegrałem...

## III.

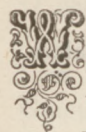
Często, w ciemną noc słyszą mieszkańcy strwożeni,  
Jak po ulic samotnych echowej przestrzeni,  
Między domów murami rozbija się dziki  
Niby śpiew, niby skarga straszniejsza nad krzyki,  
Monotonny, w natury uciszeniu całym  
Bezsenny — głos szaleńca:

— Przegrałem!.. Przegrałem!..

WŁADYSŁAW ORDON.



## W I T S T W O S Z.

iek XV., wiek odrodzenia sztuk i nauk, obfitujący w ludzi znakomitych, co ślad swego geniuszu zostawili na każdym polu, u nas pod nie jednym względem świetniej niż gdziekolwiekby indziej się objawił, wydał bowiem całą plejadę takich postaci, z których każda mogłaby być największą ozdobą swej epoki. Oleśnicki, Długosz, Grzegorz z Sanoka, Kopernik, Stwosz, oto reprezentanci ostatniej doby wieków średnich w Polsce.

W każdym czasie i w każdym kraju staliby oni na świeczniku; dyplomacya, historia, filozofia, nauki ściśle i sztuka znalazły w nich wyższych nad wiek uprawiających. Dwóch z pomiędzy nich, współczesnych sobie (Kopernika i Stwosza), pozazdrościli nam zachodni nasi sąsiedzi; o pierwszym z powodu obchodzonej w całej Polsce rocznicy pisaliśmy przed kilku tygodniami, o drugim dziś nam mówić przychodzi.

Rodzina Stwosza wiezie swój początek ze Spiża, z okolic Bardyowa; już przecież na początku XV. wieku znajdujemy w aktach miasta Krakowa częste wzmianki o Stwoszach, a w sto z górą lat po śmierci Wita w akcie lustracyjnym wsi Babic, należącej do starostwa oświęcimskiego, spotykamy nazwisko Piotra Stwosza, dzierżawcy roli w Babicach.<sup>1)</sup>

Miejscem rodzinnem Stwosza jest Kraków, rok urodzenia niepewny, podawany dotąd między 1438 a 1447. Danem mu było żyć w najświetniejszym peryodzie stolicy polskiej, zwanym ztąd „felix saeculum Cracoviae.“

Do 53. roku życia nie wyruszał poza granice ojczystego miasta; tu się kształcił w swoim zawodzie, tu się ożenił i pracami swemi zjednał sobie rozgłosną sławę.

Talent jego był wszechstronny; słynął nietylko jako snycerz i rzeźbiarz, lecz także jako malarz, rysownik, złotnik i architekt. Wykonywał jednak przeważnie prace snycerskie, i te też jedynie, choć tylko częściowo, przechowały się aż do naszych czasów. Prócz licznych dzieł dla króla Kazimierza Jagiellończyka, dla Krakowa i miast postronnych, mianowicie na węgierskiem pograniczu leżących, jako to dla Bardyowa, Lewoczy, Bystrzycy i innych, ukończył podówczas Stwosz arcydzieło snycerskie, będące dotąd podziwem znawców, a zdobiące krakowski kościół Najśw. Panny Maryi. Jestto ołtarz szafasty, przedstawiający w postaciach naturalnej wielkości zaśniecie N. P. Maryi, nad którym pracował przez lat 12, bo od r. 1477 do 1489. Nie mogąc się zapuszczać w wyliczanie i ocenianie rozlicznych utworów Stwosza, przyjrzymy się na chwilę temu dziełu, największych rozmiarów z pomiędzy znanych prac jego.

Co w nim najwięcej podziwiać trzeba, to jego zrozumiałość i czytelność dla widza, skupienie i proporcjonalność kompozycji, twórczość fantazyi, mistrzostwo wykonania najdrobniejszych nawet szczegółów, i wreszcie nieporównaną indywidualność w każdej twarzy, co nazawsze pozostanie największym przymiotem artysty.

Widać z figur Stwosza, że użyjemy pięknych słów Kremera, iż burza cierpień i głębokich boleści do dna przeniknęły ich piersi, zostawując ledwie ukojone blizny na sercu; widać, że w ich duszy również kwitnęły tęsknoty i smutki, a roztulały się radości i wesela ziemskie, prawdziwie ludzkie, że pragnienia i chęci świata, przyczajone na dnie ich istoty, zrywały się nadzieją i ochotą światową; znać, że te postacie po naszymu walczyły i pasowały się ze światem i z sobą, że wiele przebolewały w życiu.

Żył Wit w Krakowie w dostatku, otoczony szacunkiem i życzliwością współziomków, a sława jego rozchodziła się już wówczas szeroko poza granicami kraju (czytaj Neudoerfera, żyjącego przy schyłku XV. wieku). Mógł więc wówczas powiedzieć słowa, które mu Wincenty Pol kładzie w usta w swym poemacie:

Więc wśród narodu po zakonie-m chadzał,  
Na Bożą wolę całą pracę-m składał,  
I z wybranymi tylko się naradzał,  
Z czystymi tylko po za stołem siadał,  
I wierzyłem, że pójde tym torem:  
Że mi się życie złoży gdyby wianek,  
Że będzie wieczór taki, jak był ranek;  
Że przejdę w pracy poważnie i śmieie,  
Jak zwykł przechodzić dzień w Bożym kościele,  
Poczęty jutrznią, skończony nieszporem...

Inaczej się stać miało! Niebo, które dotąd świeciło mu tylko pogodą, pod wieczór życia okryło się czarnymi chmurami. Nie ziolkowie przecież podali mu czarę gorzycy, którą spełnił aż do dna, jeno ci, co go dziś przywłaszczyć sobie usiłują daremnie.

Nieszczęścia swego był Stwosz po części sam sprawcą, opuszczając dla udania się w obczyzną miasto ojczyste, gdzie doznawał powszechnego szacunku, gdzie jak świadczył akt miejskich radzieckich, był starszym cechu artystów, oraz wolnym od płacenia podatków.

Ale naszego snycerza wabiły postronne kraje i miasta, słynące jako ogniska sztuki, pragnął i tam dać się poznać i zaćmić rywalów. Z pomiędzy miast niemieckich odznaczała się szczególnie pod tym względem Norymberga, cacko architektury gotyckiej. Mieszczanie tamtejsi zawezwali go r. 1486, aby wystawił pomnik w kościele św. Sebalda.

<sup>1)</sup> Antoni Schneider: Encyklopedia do krajoznawstwa Galicyi, tom II., zeszyt 6, str. 71. Lwów 1873.



Wezwanie było zbyt zaszczytnem, aby je Stwosz mógł odrzucić.

Zabawiwszy czas niejaki w Norymberdze i wygotowawszy rozległych rozmiarów rysunek, którego jednak dla kosztowności nie użyto, wrócił niebawem do Krakowa; już bowiem z r. 1489 są znów ślady pobytu jego w tem mieście.

W trzy lata później wykonał z czerwonego, nakrapianego porfiru pomnik grobowy Kazimierza Jagiellończyka. Więcej od samego sarkofagu, zdumiewają pięknością pomysłu i wykonania kapitele, przedstawiające całe dzieje

nie pijał. Już sam obyczaj niemiecki, tak różny od polskiego, razić musiał snycerza.

Tam w naszej Polsce jakoś to inaczej!

Tam kram dla ludzi, tu dla kramu ludzie.

Zajrzę do cechu, patrzę, a to knechty!

Piwem opile nicponie i szlechty!

Z których cech jeszcze złych sęków nie obil —

Każdy nie o to pyta, coby zrobił,

Lecz o to tylko, co od sztuki płacą?!

W czasie drugiego pobytu w Norymberdze imię Stwosza największego zażywało rozgłosu, ze wszech, czę-



Wit Stwosz.

ludzkości od stworzenia świata. Wit Stwosz — mówi Pol — jest tu Dantem w dłucie, a ten pomnik jest w swoim rodzaju Boską komedią w kamień zaklętą!.. Nigdy Stwosz nie wznosił się wyżej w żadnem dziele swoim, nigdzie nie jest twórcza jego fantazyja bogatszą, głębia ducha większą, religijne natchnienie wyższem, całość bardziej uderzającą i wykończoną tak w ogóle linii, jako też i w najdrobniejszych szczegółach.

Około r. 1500 osiadł znów Wit w Norymberdze. Odtąd rozpoczyna się drugi okres jego życia, dziwnie odmienny od pierwszego, pełen przykrości i nieszczęść dla artysty, ogłoszonego wkońcu przez zazdrośnych Niemców oszustem, podczas gdy w Krakowie słynął jako człowiek uczciwy i wstrzemięźliwy, bo wina nigdy

stokroć odległych stron Europy zamawiali sobie utwory jego królowie i książęta. I tak na żądanie Emanuela, króla Portugalii, wykonał z drzewa Wit kolorowane posągi Adama i Ewy, naturalnej wielkości, które dla znakomitości dłuta na pierwszy rzut oka za żywe osoby uważano.

Im więcej wszakże rosła sława artysty, tem większe niebezpieczeństwo groziło mu ze strony Norymberczyków. Zazdrość kolegów z jednej strony, z drugiej zaś samolubstwo mieszczan, nie chcących z pomiędzy siebie puszcząć tak znakomitego talentu, miały mu wkrótce zgotować upadek. Zbliżył prawdopodobnie katastrofę zamiar opuszczenia Norymbergi. Chcąc zapobiedz wykonaniu tego przedsięwzięcia, użyto haniebnego oszczerstwa, po-



mówiono o sfalszowanie rewersu tego, co dotąd miał opinią uczciwego człowieka, i dzięki licznym zamówieniom królów i książąt opływał zapewne w dostatki.

Dwóch wywłoków i szalbierzy, Banner i Starzedel, dało się użyć za narzędzie i oskarżyli Wita o fałszerstwo. W listopadzie r. 1503 radni miasta Norymbergi, pod przewodnictwem Antoniego Tuchera, wydali rozkaz pojmania i badania go za pomocą tortur w sprawie rewersu, który wydał Jakubowi Bannerowi, w grudniu zaś skazano go na piętnowanie na oba policzki i odebrano mu wolność wyjechania z miasta. O prawdziwości tego zbrodniczego czynu przekonywa nas prócz wielu innych świadectw, współczesna kronika norymberska, opisująca zdarzenie następnymi słowy:

Ein Bedelhauer Veit Stoss hies,  
Viel falscher Brief er schreiben liess,  
Dadurch viel Güter thät erwacken,  
Der wurd gebrennet durch die Backen.

Prześlicznie opisuje to Pol w swym poemacie: „Kramni i mistrze“ uradzili zgubić Stwosza.

Wystąpił jakiś kłamany wierzyciel...  
Jam zaparł listu, zbił skargi nieprawe;  
Lecz kupnych świadków przywiódł oskarzyciel,  
I zaprzysięgli krzywą jego sprawę.  
I w mgnieniu oka było w mieście świętno:  
Że jemu grzywny, mnie wyrok na piętno.  
Gdy na mnie górą upadła niesława,  
Wołałem w sądzie przeciw wyrokowi:  
„Wy mnie nie macie tutaj sądzić prawa;  
Jeżlim zawinił, niech król mój stanowi  
O mojej winie i o mojej głowie.“  
Ale daremnie. Burmistrz hardo powie:  
„Król na królestwo, ja tu sądzę w mieście!“  
I krzyknął katom: „Pod piętno go weźcie.“

A jak pod ruję ryje stado dzików,  
Z taką to chucią śród jadu okrzyków  
Zwiło się w kołtun to kramarstwo chciwe,  
Wieczyście głodne tego, co zelżywe,  
W koło pręgierza, i kat się naszozył  
I do oblicza piętno mi przyłożył...

Skrzydzenie Stwosza tak było krzycząco-niesprawiedliwem, iż biskup wirchurski, książę Wilhelm landgraf heski, Reinhard hrabia Hanau i wielu ze szlachty stając po stronie Wita, wzywało radę norymberską do tłumaczenia się. Lecz panowie radni, uniewinniając się kłamliwymi wybiegami, do tego stopnia posuwają swoją bezczelność, iż zabraniają nawet Stwoszowi ogłaszać listu cesarskiego, uznającego go niewinnym; w r. 1566 bowiem donoszą mu: „iż nie będzie się potrzebował lękać ich niełaski, jeżeli się zdecyduje nie robić użytku z cesarskiego mandatu.“

Co zaś sądzić o prawdomówności Norymberczyków, oceni każdy, zestawivszy następne dwa zapiski w księgach miejskich o Stwoszu:

„Stwosz, obywatel popędliwy,  
bezbożny i krzykacz, nabawił  
gminę naszą niepokoju.“

„Mistrz, Wit dziwnie sta-  
teczny, pilny a miłościwy, z ro-  
boty po wszystkiem chrześcijań-  
stwie słynie.“

Jednym z licznych dowodów polskości Stwosza są listy jego, przechowane w archiwum norymberskiem, z których widać, że językiem niemieckim słabo władał.

Umarł około r. 1534, dożywszy blisko stu lat; pochowano go na cmentarzu św. Jana, gdzie również spoczywają zwłoki Alberta Dürera i innych sławnych artystów.

K.

## Przekształcenia owadów; zmysłność ich i miłość macierzyńska.

Urodzony pod jedną postacią, owad umiera w drugiej, i te przekształcenia, którym podlega, stają się najważniejszym czynem istnienia jego i najszczególniejszym fizyologicznym objawem, bo i organizm i czynność zupełnie się zmieniają. Brzydka gąsienica przemienia się w złotem i purpurą błyszczącego motylka, i ten, który w młodości przepędzał czas cały pod wodą, umrze pod nią natychmiast, jak tylko urosną mu skrzydełka i odejdzie czystem powietrzem. Owad dojrzały do tego stopnia różni się od młodego, że w pierwszym niepodobna dojrzeć drugiego. Żuk egipski, ze szmaragdowymi skrzydłami, ani trochę nie jest podobnym do obrzydliwego robaka ziemnego, z którego się przemienia, tak że niegdyś jedno i toż samo

zwierzątko w różnych epokach swego istnienia było opisywane jako rozmaite zupełnie rodzaje.

Rodząc się owad nie posiada skrzydeł. Ten przyrząd rozwija się tylko w ostatnim peryodzie życia jego, przeznaczonym do wydania potomstwa. Młode żyjątko przedstawia się z początku w formie robaczka czyli gąsienicy, której Linneusz dał nazwę maski czyli larwy, dla określenia, że to jest stan przechodowy, przebranie, nim owad pokaże się w swym pięknym ubiorze. Peryod ten życia owadu jest poświęcony jedynie rozwojowi, wykarmianiu się. Po pewnym przeciągu czasu zwierzątko lenieją raz lub kilka razy, kurczą się, przybierają inną formę i stają się nieruchome. Wtedy dają im imię poczwarek (nimphae).



W całym ciągu tego drugiego okresu życia owady przestają brać pożywienie. Skórka, którą tylko co zrzuciły, zsyca się i stanowi gatunek jajowatego brunatnego oprzędu, w którym zostają zawarte, lub przyodziejają się delikatną błonką, która przystając do organów zewnętrznych wchodzi we wszystkie ich zarysy, jak pieluchy, w które owad jest powity. Ta ostatnia forma poczwarek zjednała im imię lalek. Przez czas tego pozornego spoczynku wewnątrz ciała owadu odbywa się czynna praca, w skutek której następuje zupełne rozwinięcie się całej jego organizacyi. Wewnętrzne części mięknieją i przybierają ten sam kształt, który zachować mają aż do końca życia; rozmaite organa rozwijają się pod zasłoną okrywającą je, a gdy już się to wszystko skończy, zrzuca z siebie maskę, rozwija skrzydła i staje się dojrzałym owadem. Przyjście na świat jest prawdziwie cudowne, bo pomimo nadzwyczajnych wysiłen, których potrzebował owad dla otworzenia swej trumny, wychodzi ztamtąd w stanie niepojętej świeżości. Najmniejsze dotknięcie zrywa łuski z oddzieży motylka; tymczasem ani jedna nie opada w chwili, gdy się wydobywa przez wąski otwór swego więzienia.

Wiele owadów, dla zabezpieczenia się od wpływów zimna i deszczu w czasie przemiany, owija się w jedwabną przędę. Zewnętrzna przędza, ścisła i gładka, nie przepuszcza kropeł rosy i deszczu; wewnętrzna zaś, miękka i puszysta, broni od zimna; w niej też ukryty na jesień motylek spokojnie przeczekuje zimę, żeby odżyć na wiosnę.

Nie wszystkie jednak owady podlegają tej zupełnej przemianie, którą opisaliśmy. Są takie, których życie jest nieustannie czynne. Gąsienicę ich można poznać po braku, a poczwarkę po zarodku skrzydeł. Takimi są tak zwane półpokrywe (hemipterae), bo mają cztery skrzydła, z których przednie są w końcach błoniaste. Tu należą pluskwy polne, koniki polne, mszyce, czerwce i t. d.

Pszczoły w stanie gąsienicy są zupełnie nogó pozbawione i do małych robaczek podobne. Toż samo dzieje się z muchami, z komarami i z wielką liczbą innych owadów. Robaki, rojące się w ściervach gnijących, niczem innym nie są, tylko gąsienicami błyszczącej muchy zielonej. Komary, które wieczorem zwijają się licznymi rojami w powietrzu, i które tak uprzykrzają się człowiekowi jadłowitemi zakłuciami, póki są gąsienicami, żyją w wodzie. Są one wtedy robaczkowate, beznogie i mają tułów zakończony szczecinkami wachlarzowato ułożonemi. Oprócz tego z ostatniego pierścienia wychodzi długa rurka, za pomocą której zwierzątko wciąga powietrze, wieszając się u powierzchni wody głową nadół, a ogónkiem do góry, i ponawiając to w krótkich przedziałach czasu. Poczwarka komara nie przestaje żyć w wodzie, ale zamiast oddychać jak gąsienica, czerpie potrzebne sobie powietrze za pomocą dwóch rurek na tułowie leżących. Krąży ona po powierzchni wody, a ukończywszy przemianę, gdy już jest

dojrzałym owadem, używa ostatniej wyleni jak łódki, aż póki długie nogi i skrzydła nie nabędą tyle tęgości, że pozwolą przejść po powierzchni wody, albo ulecieć; bo gdyby ciało jej zanurzyło się, jak to często bywa, gdy wiatr wywróci wiatr jej barkę, nieochylnieby utonęła.

Niektóre owady, jak powiedzieliśmy wyżej, nie przebywają całkowitego szeregu przemian i nie dochodzą do tego, aby skrzydła miały. Do takich należą pchły. Wykluwszy się z jaja, nie mają nog i są robaczkami koloru białawego. Żwawe i zwinne te robaczki wkrótce stają się czerwonawemi, i w tym stanie na dni dwanaście zamykają się w mały jedwabisty oprzęd niezmiernej delikatności, i w nim się przemieniają w poczwarkę. Po dwunastu dniach zamknięcia, jeżeli jest ciepło, wychodzą ze swego okrycia w dojrzałym stanie. Są nakoniec owady nieodbywające przemiany i rodzące się ze wszystkimi organami, które do końca życia zachować mają. Tak się dzieje na przykład z wszami.

Owady tak osobliwe pod względem organizacyi, są jeszcze osobliwszemi pod względem obyczajów i zadziwiającej zmyślności. Motylek, na wiosnę po raz pierwszy wylatujący ze swego więzienia, nie miał żadnego stosunku ze swemi poprzednikami, a jednak na jesień opatruje każdy swe jajko stosownym pokarmem dla mającej się z niego wylęgnąć gąsienicy, chociażby ta ostatnia żywiła się zupełnie inną niż on materyą. Nasteczniki (Pampilus), podobne do ós, w dojrzałym wieku żyją na kwiatach, ale ich gąsienice są mięsożerne; dla tego też matka składa zawsze obok swych jaj, w gnieździe do tego celu przygotowanym, zwłoki pajaka lub gąsienicy jakiej, którą poprzednio żądłem swem zabiła.

Zauważano w najnowszych czasach, że najzmyślniejsze owady posiadają system nerwowy daleko więcej ześrodkowany i głowę stosunkowo większą; widoczna więc, że i te drobne stworzenia podlegają tymże samym prawom, co i cały świat zwierzęcy.

Zmyślność owadów w niektórych wypadkach dochodzi do wyrafinowanej chytryści; człowiek nie może wyjść z podziwu, znalazłszy w nich tyle dowcipu i tyle przebiegłości. Jeżeli mięsożerne zwierzątko, nie lubiące trupów, rzuci się na łuszczkowatą gąsienicę Pływacza (Ditiscus), w tejże chwili z jędrnego i silnego robaczka gąsienica zmienia się w mięką i pozbawioną wszelkiego ruchu masę. Zwierzę, które ją wzięło do paszczy, sądząc, że trupa schwyciło, wypuszcza ją... Dojrzały chrząszcz, dostawszy rogową powłokę, nie może już użyć tego samego fortelu, lecz rzuca się na inny. Weźcie Pływacza naszych bagien do ręki; zaledwo go dotknięcie palcami, ze wszystkich otworków skóry wytryska mleczny, nadzwyczaj śmierdzący płyn, od którego ucieka najbardziej zgłodniały napastnik. Wiele jest owadów, które będąc przestraszone, z taką zaciętością udają umarłych, że łatwiej je utopić



lub spalić, niż zmusić do ucieczki wtedy, gdy się skurczyły ze strachu.

Inne owady, dla wybawienia się od nieprzyjaciół, chytrą posuwają jeszcze dalej. Będąc młode i słabe, pokrywają się odrażającymi łachmanami, lub śmierdzącą pokrywą, a potem umierają pokryte złotem i purpurą. Taką jest Criocera, żyjąca na lili. Obrzydliwa i bojaźliwa jej gąsienica grzbiet swój pokrywa własnemi smrodliwymi odchodami. Następnie, po pewnym czasie, zrzuciwszy obrzydliwy swój ubiór, chrząszczyk przywdziewa piękny czerwony pancerzyk, w którym się przechadza po swej królewskiej karmicielce. Gąsienica owadu, zwanego

Reduvius personata, pokrywa się pajęczyną i w tym stroju w szparce jakiej czatuje na pluskwy, którymi się karmi. Chrząszczyki, zwane Bombardyerami, żyjące pod kamieniami, są jeszcze dowcipniejsze. Posiadają one rodzaj artylerji, którą straszą swych nieprzyjaciół. Gdy zostaną napadnięte, wyrzucają z kiszek białawą, kwaśną parę, która wychodząc sprawia pewny trzask, do słabego strzału podobny, odstraszający napadającego; wszystkie chrząszczyki tego rodzaju, znajdujący się naokoło, zaczynają także strzelać. Widziałem nieraz dzieci, które wzięwszy zwierzątko, wypuszczały je z rąk zdziwione i przestraszone tą szczególną obroną.

(Dok. nast.)

## Poległy żołnierz.

Na dalekiej, obcej błoni,  
Gdzie wiatr tuman kurzu goni,  
W zbroy leży trup;  
Bez łzy ludzkiej, bez mogiły,  
Choć nie szczędził w boju siły,  
Znalazł zimny grób.

Jadą tuż generałowie,  
Pióro świeci im na głowie  
A na piersiach krzyż;  
Żaden jednak nie uwierzy,  
Że ten rycerz, co tu leży,  
Krzyża godzien też.

Niejednego z ległych braci  
Zgon, ktoś zdrojem łez opłaci,  
Ktoś zamówi mszę;  
Któż się zajmie tym wojakiem?  
Któż go uczcie żalu znakiem,  
Lub uroni łzę?

Jednak o wieczornej porze,  
Gdy już księżyc na przestworze  
W gronie gwiazdek lśni,

Stary ojciec westchnie, rzewnie:

„Ach! w tej walce syn mój pewnie

Poległ w kwiecie dni!“

I staruszka matka płacze:

„Już go więcej nie zobaczę,

Poszedł w tamten świat;

Jedynakam syna miała,

W nim podpora znikła cała

Starych moich lat.“

I dziewczyna wśród ogródka,

Piękna, świeża jak jagódka,

Rzewnie płacze wciąż:

„Nikt mych żalów nie ukróci,

Gdy mój luby nie powróci —

Nie wróci mój mąż.“

Po żołnierzu opuszczonym,

W pustem polu niegrzebionym,

Za ostatni dar

Przecie, przecie istot troje

Szle do nieba łezki swoje

Gorące jak żar!

S. W.



# POJEDYNEK AMERYKAŃSKI.

POWIASTKA

PRZEZ

WOŁODEGO SKIBĘ.

(CIĄG DALSZY)



V.

Na koncercie nazajutrz było w istocie najlepsze towarzystwo całego miasta.

Jakaś ważna sprawa zatrzymywała rzeczywistość w sądzie aż do wieczora sędziego Korowskiego i Witolda, z których pierwszy miał należeć do kolegium, wydającego wyrok w sprawie bronionej przez drugiego. Dwie panie przyjechały same, i jak się łatwo domysleć, pojechały razem.

Jest zwyczajem, w większych miastach przyjętym, że na znakomitsze koncerty publiczność ubiera się jak na bal, i że panie wchodzą do sali wprowadzane przez mężczyzn. W tym celu sędzina zamówiła sobie Kornela, który też u wejścia do sali oczekiwał jej przybycia.

Nie wiem, czy sędzina była tak dalece przezorną, że oprócz sprytnego młodzieńca przygotowała sobie jeszcze drugiego wielbiciela, czy też poprostu jeden z jej orszaku pragnął się upoić jej widokiem i również ustawił się na czatach, dość, że ledwie ukazały się przy wejściu, zaraz przy Julii znalazło się dwóch adjutantów, przy Wandzie nie było nikogo.

— Jesteśmy same — rzekła pani Anzelmowa — to dobrze, że spotykamy dwóch znajomych; panowie nas wprowadzicie... ja pójdę z panem Edmundem... a tobie, Wandziu, odstępuję tego pana. Pan Łoński — dodała przedstawiając — wdzięcznym mi pewno będzie za zaszczyt towarzyszenia pani Witoldowej Rolickiej...

Wyrazy „odstępuję ci tego pana“ powiedziane były z pewnym przyciskiem, na który Wanda nie zwróciła uwagi, może dlatego, że sędzina wymieniła tylko nazwisko, zamilczając o imieniu Kornela.

Przy samem wejściu przekonały się panie, że z nabyciem biletów zaszło fatalne nieporozumienie. Miały wprawdzie numera porządkowe, ale jeden był początkowym jednego rzędu, a drugi końcowym drugiego. Wszystkie miejsca były zajęte, więc o zamianie z kimkolwiek myśleć nie było można, zwłaszcza, że krzesła wszystkie były przeznaczone dla dam, a dla mężczyzn tylko miejsca stojące.

Sędzina ze skrucą wyznała, że winą tej pomyłki było jej roztargnienie, bo zapożno po bilety posłała, kiedy już prawie wszystkie krzesła były rozprzedane, i zapomniała ostrzedz posłańca, żeby żądał koniecznie miejsc obok siebie leżących. Dla naprawienia tej winy wspomniałomyślnie ofiarowała Wandzie wybór, czy chce się

dzieć po lewej czy po prawej stronie sali, co nie na wiele się przydało...

Tym sposobem Wanda przez cały wieczór została w towarzystwie człowieka, którego przedtem nie знаła, a który poznał ją od razu z oglądanego poprzedniego dnia fotogramu i był przekonany, że towarzyszy osobie, na której jego powierzchowne zalety albo nie robią żadnego, albo też robią ujemne wrażenie.

Sprytni ludzie w takim położeniu starają się rozwinąć cały zasób swoich zalet wewnętrznych. Kornel to zrozumiał i usiłował najgodniej wywiązać się ze swojej roli. W rozmowie, która w przerwach koncertu była dla niego koniecznym obowiązkiem dla uprzyjemnienia chwil osoby, otoczonej dokoła nieznajomymi, okazał więcej do wcipu i ukształcenia, niż go miał rzeczywiście; był gładkim, uprzejmym, wesołym, w miarę poważnym, ani na chwilę nie zakłopotanym o wybór przedmiotu do pogadanki, choć to po niespodziewanem zabraniu znajomości nie jest wcale łatwym zadaniem. Jednem słowem robił dobre wrażenie...

Z początku szło mu tylko o poprawienie swej opinii u kobiety, o której filutka sędzina tyle mu rzeczy namyślała. Później, gdy podczas pierwszych ustępów koncertu wpatrzył się lepiej w swoją przypadkową towarzyszkę, przyszło mu na myśl, jakimby to było tryumfem dla niego, gdyby taka piękność po tem, co mu opowiedziała sędzina, wyróżniła go z tłumu, okazała się dla niego choć cokolwiek przychylną, a może, może wreszcie dała się podbić i zwyciężyć.

Od chwili, gdy mu ta myśl przyszła, podwoił usiłowanie podobania się. Wanda nie miała najmniejszego powodu być dla niego niechętną. Uprzejmość jej wydała się Kornelowi pierwszym krokiem do powodzenia, za czem poszła wiara w możebność owego tryumfu, który sam przed chwilą jeszcze zaliczał do niepodobieństw. Prośba o pozwolenie odwiedzenia jej w domu była naturalnem następstwem przypadkowego kilkogodzinnego towarzystwa, a została przyjętą z miłym uśmiechem...

Dość, że po skończeniu koncertu Kornel powiedział do siebie:

— No, jestem nie wiem czem, jeśli pani Rolicka nie zmieniła teraz o mnie swojego zdania.

Mówiąc tak, mylił się, ale tylko dlatego, że pani Rolicka aż do chwili rozpoczęcia koncertu żadnego o nim zdania mieć nie mogła, bo jego fotogramu nie widziała.



zupełnie, i całe opowiadanie sędziny było zaimprovizowanym od początku aż do końca.

Sędzina w czasie koncertu, ile razy tylko mogła, zwracała lornetkę na młodą parę, którą tak zręcznie potrafiła wpośród tłumu pozostawić sam na sam. Tych przelotnych obserwacji przez szkła przybliżające dosyć było dla niej.

— Interes dobrze idzie — pomyślała sobie — zrobiłam, com chciała.

Szło jej tylko o to, żeby postawić na swoim i czegoś oryginalnego dokazać. Żadnych dalszych planów i widoków w całej tej intrydze nie miała. Bawiła się tem, nie myśląc wcale, że podobne zabawki bywają czasem niebezpieczne. Gdyby z tego, do czego podawała powód, wyniknęło później jakie nieszczęście, sumienie nie wyrzucałoby jej zupełnie nic, powiedziałyby sobie tylko ze współczuciem i litością:

— No, no, ktoby się był tego spodziewał!

Nazajutrz pojechała do Wandy.

— No i cóż? — zawołała wbiegając do salonu — je vous ai tenu ma parole, masz go już...

— Kogo?...

— Kornela, pana Kornela, tego, któremu ci obiecała darować.

— Jakto mam go już?.. nie widziałam go nawet...

— A ów pan Łoński wczoraj?...

— A! pan Łoński!.. więc to on?...

— A któżby inny?.. masz go już... jest twój...

— Moja droga, gdybym chciała przyjąć twój osobliwy podarunek, musiałabym to jakoś objawić...

— Więc albo objawiła, albo się między wami zupełnie bez tego obeszło... bo zakochany w tobie, jak jeszcze nigdy nie był w nikim...

— Gdybym ci mogła wierzyć, to musiałabym powiedzieć, że ten pan Łoński jest bardzo łatwy do miłości... Wszak sama powiadasz, że onegdaj jeszcze kochał się w tobie...

— To prawda, ale na twoją intencją postarałam się zadać bolesną ranę jego miłości własnej, i w chwili, kiedy czuł do mnie najgłębszą urazę, którą tylko grzeczność kazała mu tacić i hamować, ukazałam mu ciebie... złościłam go z tobą... W każdym razie byłabyś dla mnie niebezpieczną rywalką, w tym razie nieudanie się mego planu było prosto niepodobieństwem. Masz go.

— Kochana sędzino — odpowiedziała z powagą Wanda — powinnabym właściwie gniewać się na ciebie; sądę jednak, że się sama wkrótce przekonasz, iż cała ta historia o nagłym paroksyzmie miłości pana Kornela istnieje tylko w twojej wyobraźni...

— Gdybyś się jednak przekonała, że prawdę mówię? — podchwyciła pani Korowska.

— W takim razie umiałabym uwolnić się od zalotów i nadskakiwań, których przedmiotem być nie chcę, choćby

mi przyszło naśladować ciebie i dotknąć do żywego czyjaś miłość własną.

Odpowiedź była nieco surowa i mieściła dość wyraźny odcień urazy. Julia nie wzięła tego zbyt żywo do serca, może być nawet, że wcale tego nie dostrzegła.

Po odjeździe sędziny myśl Wandy mimowolnie zwracała się do Kornela.

— Zdawał mi się rozsądnym człowiekiem — mówiła do siebie — niepodobna, żeby miało być prawdą, co sobie ta trzepałkowska uroiła. Powinnam przecież mieć się na baczności, i gdybym jaką drobną oznakę spostrzegła... ale nie, to jest oczywiste niepodobieństwo... Ten pan Kornel, to człowiek rozsądny i z taktem... Chociażbym nawet... wszystko na świecie jest możebnem... chociażbym zrobiła na nim jakieś głębsze wrażenie... będzie umiał panować nad sobą i nie zechce mnie wystawiać na przykrość dania mu koniecznej nauczki.

Tak możebność zakochania się Kornela znalazła przystęp do umysłu pani Witoldowej Rolickiej.

Myśl Kornela tymczasem od chwili koncertu była także ciągle panią Witoldową zajęta.

— Wszyscy mówią o mnie — myślał on — że mam szczęście do kobiet. Dotychczas, przyznam się, że na zbyt wielkie próby nie wystawiałem tego szczęścia. Ha! gdybym tak zaryzykował... Sędzina mszcząc się na mnie, skazała mnie na kilkogodzinne asystowanie kobiecie, która na pierwszy rzut oka nie okazała mi sympatii; zdaje mi się, że jej antypatya rozbroił... powinienem doprawdy pomścić się za tę zemstę na pani sędzinie... Ta pani Witoldowa jest rzeczywiście piękna, szalenie piękna... gdybym się dowiedział, że ktoś z miłości dla niej stracił zmysły, tobym się nie zdziwił wcale; powiedziałbym o nim tylko, że jest o pewną liczbę stopni gorętszy odemnie... Oh! czyżbo i ja naprawdę ataku tej gorączki nie dostaję?...

Z tego monologu widzimy, że darowanie innej wielbiciela lub kochanka nie jest dla kobiety nierozwiązalnym ani nawet bardzo trudnym zadaniem.

Dlaczegoż pierwsza dopiero sędzina Korowska przedsięwzięła rozwiązać to zagadnienie?

A! bo podobno przed nią nie było na świecie kobiety tak lekkomyślniej, żeby dobrowolnie rozdawała w podarku to, co inne za najwyższy zaszczyt i za największą chlubę dla siebie uważać zwykły.

## VI.

Opisałem dosyć szeroko dzieje spotkania się pani Witoldowej Rolickiej z Kornelem Łońskim na drodze życia. Szło mi o to, żeby czytelnicy wiedzieli, że spotkaniu temu Wanda najzupełniej nie była winna.

Nie pragnął go także, nie przygotował i nie szukał Kornel; ułożyła je i sprowadziła ręka osoby trzeciej.



osoby, która w tem nie miała żadnej złej, ani żadnej dobrej myśli, która chciała się zabawić i czegoś oryginalnego dokonać.

Jeżeli prawdą jest, że złe rodzi się tylko ze złego, to z tego zbliżenia się i spotkania nic złego nie powinno by wynikać.

Jednakże charakter tego zaznajomienia się oddziałał na następny stosunek pomiędzy Wandą i Kornelem, i oddziałał w sposób niekoniecznie najlepszy.

Gdy Kornel zaczął okazywać pierwsze symptomata zakochania, Wanda nie dotrzymała słowa, nie naśladowała sędziny, nie odparła jego zalotów i nadskakiwań ciosem zadany miłości własnej. Czuła, że powinna tak uczynić, wyrzucała sobie, że pozwalając na rozwijanie się uczucia, które powinno być stłumionem w zarodku, wdaje się w grę niebezpieczną, pozwala rozniecać się iskrze, która może stać się płomieniem, a niedługo potem pożarem. Chciała nieraz temu położyć tamę, ale zawsze wstrzymywała ją myśl:

— Za cóż mam być przykrą i nielitościwą dla niego?... cóż on temu winien, że go do mnie popchnięto, że tak ułożono okoliczności, żebym na nim koniecznie głębsze zrobiła wrażenie?.. Ah! teraz spostrzegam dopiero, że to naprawdę niedobra kobieta z tej Julii.

Tę pobłażliwość Kornel tłumaczył sobie inaczej, i coraz śmielsze na niej budował nadzieje.

Zaimprovizowana przez sędzinę scena z albumem fotografów, zestawiona i porównana z rzeczywistością, dała mu wiele do myślenia.

Rozwagał ją i rozbierał bardzo starannie, starał się całym swoim sprytem odgadnąć jej znaczenie, i wytłumaczył ją sobie najniekorzystniej dla Wandy.

— Przed przyjaciółką powiedziała, że ze wszystkich znajomych najlepiej jej się podoba jej własny mąż... tymczasem w moim towarzystwie przestaje bardzo chętnie, i kiedy ja jestem w domu, nie nudzi się, choć męża nie ma... Czy przypadkiem owa scena z albumem nie była hypokryzją i fanfaronadą, popisem z udaną cnotą?..

Zadawał sobie to pytanie i coraz częściej odpowiadał na nie:

— Tak.

Najsprytniejsi ludzie nie są czasem wolni od przeczytywania swych własnych pragnień i nadziei za rzeczywistość, bo to jest wrodzone naturze ludzkiej, a ów przymiot, nazwany sprytem, nie w każdej chwili wystarcza do zapanowania nad przyrodzonymi skłonnościami.

Twierdząca odpowiedź na owo tak drażliwe pytanie, była nową podwaliną dla gmachu nadziei Kornela.

Nie spieszył się on jednak z uznaniem tego gmachu za ukończony. Kochał się na zimno i z wyrachowaniem, jak wszyscy prawdziwie sprytni ludzie. Nie namiętność nim władała, lecz on swoją namiętnością kierował. Sta-

rał się powoli iść do celu, ścieląc sobie i równając drogę do niego.

Wszystkie siły swego umysłu skierował na to, ażeby się podobać, ażeby niczem nie urazić sobie Wandy. Postawa jego wobec niej była zawsze pełną uszanowania. Jednem słówkiem nie odważył się zdradzić tajonego uczucia, oczom tylko i westchnieniom pozwalał maleńkiej niedyskrecji niekiedy. Taką, a może większą jeszcze i wyraźniejszą niedyskrecją była zmiana, jaką okazywało jego usposobienie. Z wesołego, pełnego salonowości młodzieńca przeszedł powoli i stopniowo w powagę dojrzałego mężczyzny, potem twarz jego oblał jakiś smutek ponury, i nietrudnem już było się domyśleć, że z kolei przybierze postać męczennika, wewnętrznym trawionego płomieniem, nie śmiejącego zdradzić swej boleści, aby nie stracić jedyne szczęścia, jakie mu pozostało, widywania czasami wybranej.

Wanda nie byłaby kobietą, gdyby to nie budziło w niej współczucia. Nie miała ona najmniejszego powodu podejrzawać szczerości uczuć Kornela; sumienie nie wyrzucało jej, żeby w czemkolwiek przyłożyła się do ich wzbudzenia lub podniecenia; widziała więc w nim tylko niewinną ofiarę potęgi własnych swych wdzięków i przymiotów.

Za uszanowanie, jakie jej okazywał, za to panowanie nad sobą, z jakim pokonywał wybuchy namiętności, która się w jego spojrzeniu i wyrazie twarzy zdradzała, Wanda polubiła go.

Powoli stał się prawie codziennym gościem i stałym przyjacielem domu, świadkiem małżeńskiego pożycia państwa Rolickich, czemś zwyczajnem i potrzebnem, częścią całości.

Widział, że Wanda prawdziwie kocha swojego męża, zaczął analizować jego przymioty, i starał się bądź w rozmowie, bądź przy zdarzonej sposobności okazać jej, że każdy z tych przymiotów i on także posiada, jeżeli nie w wyższym to z pewnością w równym stopniu.

Człowiekowi prawdziwie sprytnemu nietrudno jest w zręcznie dobranych chwilach okazać się cnotliwszym od najcnotliwszych bohaterów starożytności... dość do tego wybrać tanie a bijące w oczy okazy.

Potrzeba było tylko, żeby mu się ta sztuka raz jeden udała, żeby raz jeden Wanda potrzebowała porównać go ze swoim mężem i była zmuszoną jemu we własnem przekonaniu przyznać wyższość, jużby się później nie obroniła natrętnej myśli, że mąż jej nie jest uosobioną doskonałością, jużby w nim nadal sama rozmaitych stron ujemnych, wad i niedoskonałości szukała. Znalezione, chociażby najdrobniejsze, wyrastałyby w jej oczach do olbrzymich rozmiarów, a wkońcu przyzwyczajwszy się je wykrywać, dostrzegałaby je nawet tam, gdzie ich rzeczywiście nie było.





Uroczystość Rusałek na Rusi.



Szczęściu małżeńskiemu młodych małżonków groziło zatem niebezpieczeństwo niezmiernie.

Jedynym człowiekiem, który mógł niebezpieczeństwu temu zapobiedz, człowiekiem, który powinien był wystąpić do walki z najeźdźnikiem swego spokoju i odeprzeć go lub zginąć, był mąż Wandy.

Czytelnicy przyznają mi zapewne, że teraz właśnie pora, żebyśmy nieco bliżej zapoznali się z tym mężem.

## VII.

Nie wiem, z kąd pisarze powieści i komedyi biorą w takiej ogromnej masie mężów, którzy po to się tylko ożenili, ażeby zaraz po ślubie oślepli; to pewna, że chyba nie z pomiędzy tych ludzi, którzy chociaż niekiedy bywają w teatrze i chociaż czasem czytują powieści.

W powieścio- i komedyopisarstwie stało się już prawie pewnikiem, że ożenienie się jest dla mężczyzny tem, czem podróż do Egiptu, gdzie jak wiadomo, panuje oftalmia. Mężowie mają w tym konwencyonalnym, papierowym świecie smutny przywilej, nie widzieć tego, co wszyscy widzą; a nawet ich ślepotą łączy się z głuchotą, nie słyszą tego, o czem wszyscy mówią. Małżonek, kurs w belletrystyce mający, ulega tej chorobie w dwojaki sposób: albo ślepo ufa żonie, która go zdradza, albo prześladuje i dręczy bezzasadną, ślepą, nedorzeczną zazdrością żonę, która go kocha i o żadnym innym nie myśli. Gdyby z ogromnych bibliotek powieści i komedyi, stworzonych przez tysiące autorów, powycinać wszystkie pocieszne figurki tych mężów, którzy w pokorze ducha nie domyślają się nawet, jaka pyszna ornamentyka przyozdabia ich głowy, i wesołe sylwetki tych, którym się zdaje, że dźwigają tego rodzaju ozdoby, choć rzeczywiście nikt ich w nie ubierać nie myśli, możnaby tym legionem z bibuły ukolonizować dosyć gęsto wszystkie pustynie Azji i Afryki. Za to kto by w tym wszechświecie cienkich tomików, w tem społeczeństwie atramentowem chciał poszukać męża, który ma oczy, męża, który widzi, co mu zagraża, albo nie zostaje pod wpływem hallucynacyjnych przywidzeń, musiałby chyba od Dyogenesa pożyczyć sobie latarki.

Koledzy moi jednak w powieścio- i komedyopisarstwie albo mi przyznać będą musieli, że kto od czasu do czasu rzuci okiem na scenę, kto w wolniejszych chwilach nie sądzi, by ubliżyć swojej powadze, jeżeli przerzuci kartkę jakiego romansu, tylu tam musi spotkać mężów, o jakich mowa, że gdy sam zostanie mężem, nie może nie przyjść do wniosku, że mąż powinien widzieć i słyszeć, ale widzieć i słyszeć rozumnie, rozbierać i oceniać, co widzi i słyszy; bo jeżeli nierozważnie popadnie w zbytęcną ufność lub w zbytęcną podejrziliwość, znajdzie się zaraz w jednej z tych dwóch kategorii, z których się śmiał tak serdecznie na przedstawieniu teatralnem, albo podczas czytania jakiej dowcipnej powiastki.

Witold Rolicki należał do tych mężów fenomenalnych w romansach i na scenie, ale dla honoru natury ludzkiej przypuścić trzeba, że nie wyjątkowych w życiu, którym akt ożenienia się nie sparaliżował zdrowego rozsądku, którzy przez zawarcie małżeńskiego związku nie zostali pozbawieni dwóch najpotrzebniejszych zmysłów.

Wiedział on, że pod maską przyjaźni wchodzi często do domu małżeńskiego zdrada. Kochał Wandę, ale pamiętał o tem, że jest kobietą, to jest nie jakimś wyższym i doskonalszym nieziemskim duchem, który upaść nie może, ani istotą takiej wątłej i kruchej moralnej budowy, że upaść koniecznie musi. Nie oddał jej pod straż wyłączną swego honoru, czuł że i jego obowiązkiem jest także o nim pamiętać; uważał na nią, ale się nie zniżał do tego, żeby ją śledzić i podglądać.

Że był przezornym i ostrożnym, zawdzięczać to może tym autorom, którzy przed jego oczyma taki tłum mężów nieostrożnych i nierozważnych przesunęli; ale że miał jakiś plan postępowania na przypadek, gdyby zaczął spostrzegać, że mu niebezpieczeństwo grozi, to już zawdzięczał samemu sobie.

Nim poprosił o rękę Wandy, zastanawiał się gruntownie nad wszystkim, co go oczekiwać może w małżeńskim pożyciu. Różnił się tem od zwykłych konkurentów, którzy w podobnem położeniu myślą, jak sobie umieblują mieszkanie, jak ulokują posagową sumę, w którym dniu tygodnia będą dawali przyjęcia, dokąd pojedą w podróż poślubną i jak będą nazywali swą przyszłą.

Miedzy innemi postawił sobie i to pytanie:

— Cobym też począł, gdyby moja żona przestała mnie kochać i pokochała innego, a wreszcie... zdradziła mnie?

Na to pytanie nie znajdował odpowiedzi w swej głowie. Szukał jej w książkach i nie znalazł także. Autorowie różnili się ze sobą dyametralnie. Dumas syn mówił: „tue la“, Emil Girardin: „pardonne lui“, tak samo inni nienasi i nasi. Odpowiedzi te nie zadowalniały go, bo rozwiązania tego rodzaju nie rozwiązują niczego.

— Miałoby małżeństwo być labiryntem takich nierozwiązalnych kwestyi? — powiedział sobie.

Myślą tą dręczył się dość długo i doszedł do przekonania, że na pytanie powyższe dla tego odpowiedzieć nie można, że jest postawionem niewłaściwie. Jeżeli morderca zabije człowieka, wszystko już jedno, czy go za to powieszą, czy prawem łaski życie mu darują, zabity z grobu nie powstanie. Można się spierać całe wieki, czy surowość czy też łaska właściwsza; spór ten, tak czy owak rozstrzygnięty, będzie miał na celu zawsze i wyłącznie zabójcę, a nie ofiarę.

Jeżeli mam koniecznie być ofiarą, to co mnie obchodzi przyszły los tego, kto jest na mnie tej fatalności wykonawcą?

Na fakt spełniony nie ma odpowiedzi. Jeżeli żona



męża zdradziła, to na honor jego, według powszechnie przyjętych wyobrażeń, padła plama. Stał się fakt, fakt nieodwołalny. Mąż może ją zabić, ale pomszczeniem plamy swojej nie zmyje; może jej przebaczyć, i tem plamy tej nie powiększy.

Ci zatem, którzy kwestyą stawiają w powyżej przytoczony sposób, podobni są do doktora, któryby sobie postawił pytanie:

— Co ja mam robić, jeżeli mój pacjent umrze na suchoty?

Niepotrzebna troskliwość, panie konsyliarzu; jeżeli pacjent umrze, to wszystko jedno będzie, co ty potem zrobisz. Cała zagadka w tem, żebyś wiedział, co robić, aby pacjent suchot nie dostał, lub żebyś go z nich wyleczył, kiedy ich dostawać zaczyna.

Tak rozumując, Witold zmienił zapytanie i postawił przed sobą kwestyą:

— Co mam czynić, ażeby żona nie przestała mnie kochać?

To pytanie było prawie odkryciem w filozofii małżeńskiego pożycia. Trzeba przyznać Witoldowi, że się jego nowości nie uląkł. Kwestyą, dosyć surową jeszcze,

wszechstronnie opracował w swoim umyśle, i dopiero po dokładnem jej zgłębieniu przystał na czeladnika do cechu małżonków.

To też inni żeniący się pamiętają tylko o tem, że żona powinna kochać męża, nie myśleć o innych i być mu wierną, a zapominają o reszcie. Witold nigdy nie spuszczał z pamięci i uwagi tego, że także mąż nie powinien dawać powodu, ażeby żona przestawała go kochać, zaczynała myśleć o innych i wstępowała na pochyłość, która prowadzi do zdrady; a gdyby inni powód taki dawali, obowiązkiem jest męża starać się go usunąć lub zneutralizować.

Tą zasadą rządził się w pożyciu. Starał się zasługiwać na miłość, i sumienie nie wyrzucało mu, żeby pod tym względem obowiązkom swoim uchybił. Co do siebie mógł być zresztą spokojny, bo kochał Wandę szczerze i gorąco.

Niebezpieczeństwo, jeżeli jakie mogło mu grozić, pochodzić mogło tylko od innych, z tej strony tedy Witold Rolicki był baczny.

(Ciąg. dal. nast.)

## Uroczystość Rusałek na Rusi.

(Obacz rycinę na stronnicy 112.)

Zamieszczona z powyższym napisem rycina w tym zeszycie przedstawia zachowany jeszcze z czasów pogańskich zwyczaj mitologiczno-ludowy na Rusi, a szczególnie na Ukrainie. Jestto obchodzona tam po dziś dzień jeszcze na Zielone Świąta uroczystość na cześć tak zwanych Rusałek, rodzaju bóstw leśnych i wodnych, z którą, jak zwykle z wszelkimi obrzędami pogańskimi, łączą się rozmaite gusła i zabobony. W pierwszy dzień Zielonych Świąt udają się do najbliższego gaju dziewczęta i młodyce i uplatają tam z młodej brzeziny tyle wieńców, ile każda z nich ma osób drogich swemu sercu, o których przyszłym losie pragnie się dowiedzieć za łaską Rusałek. Potem składają te wieńce w pewnym miejscu, tańczą dookoła nich i śpiewają pieśni na cześć Rusałek. W tydzień

potem, to jest w następną niedzielę, udają się znów w to miejsce, ażeby się dowiedzieć o wyroczni bogiń. Jeżeli który wieńiec uwiadł i poczerniał, jestto znak, że osoba, dla której został uwity, wkrótce już umrze; w przeciwnym razie będzie się cieszyć jeszcze długiem życiem. Potem rzucają te wieńce na wodę; jeżeli taki uwiadły wieńiec natychmiast utonie, ma to oznaczać, że osoba ta jeszcze w tym roku umrze, jeżeli zaś utrzyma się na powierzchni wody, śmierć nie zaraz jeszcze nastąpi. W podobny sposób za pomocą wieńców puszcanych na wodę, jak na Mazowszu w wigilią ś. Jana Chrzciciela, próbują dziewczęta ukraińskie wywróżyć także swoje przygody miłosne, i właśnie na załączonej rycinie widzimy je zajęte taką wróżbą.

## Kronika literacka i artystyczna.

Lwów, w kwietniu 1873.

(Jeszcze tylko teatr zostaje kronikarzowi. Kartel teatralny lwowsko-krakowski. W sprawie konkursów dramatycznych. Nowy zarząd sceny. Koncerta ostatnie. Wiadomości literackie).

Na rzecz życia towarzyskiego i zwyczajowego, umysłowe czynić musi niekiedy ustępstwa, a najwięcej może prawa do

ustępstw takich ma czas świąt Wielkanocnych. To też i na niniejszą kronikę poświęteczną niewiele się złoży faktów, które przeważnie zawdzięczamy teatrowi. Tem więcej poświęcimy im uwagi.

Dotknąć nam wypada przedewszystkiem sprawy bardzo drażliwej: umowy, zawartej między dyrekcjami teatrów lwow-



skiego i krakowskiego, a mającej na celu z jednej strony wzajemne wspomaganie się pod względem sił artystycznych i repertoarzu, z drugiej zapewnienie rygoru na artystów, zostających w stosunku z obu dyrekcjami. O ile pięknym i użytecznym dla sztuki naszej dramatycznej jest przytoczony cel pierwszy owej umowy, drugi zdaniem naszym w wysokim stopniu uwłacza artystom zarówno jak sztuce, której są reprezentantami. Wszelkie podobne rygory najgorzej służą moralności, chociaż dźwigniami jej się mienia, być może, w najlepszej wierze. Łamiący kontrakt artyści zostają przecie pod rygorem prawa ogólnego, krajowego, a legalny ten stosunek aż nadto wystarczać powinien dyrekcji do odszkodowania się w danym wypadku. — Wogóle umowa wspomniana, czyli jak ją nazywają „kartel teatralny“, na publiczności złe sprawiła wrażenie, a w samymże teatrze wywołała słuszne protesty ze strony aktorów. Ostateczność to doprawdy, uciekać się do takich środków w sferze Melpomeny! Czy nie właściwiej byłoby zamiast ukartowywania istnej ekskomuniki na zrywających kontrakty artystów, środkami szlachetnemi wyrabiać w nich uczucie słuszności i obowiązku?

Dyrekcje teatrów lwowskiego i krakowskiego wiążą się także w ugodzie powyższej do wspólnego ufundowania stałych konkursów dramatycznych, któreby były ogłaszane corocznie, z komisją konkursową we Lwowie i Krakowie naprzemiennie. Ile pamiętamy statut Towarzystwa przyjaciół sceny lwowskiej, znajduje się w takowym między innemi zobowiązanie, iż po przejściu sceny pod zarząd Towarzystwa, to ostatnie ogłaszać będzie konkursy dramatyczne, ułożyć normę tantiemy autorskiej i t. p. Dotychczas jednak nie w tej mierze nie uczyniono, chociaż dochód z jednego przedstawienia wystarczałby na jednorazowy fundusz konkursowy. Każdy z aktorów ma benefis raz w rok, czyliżby dla wszystkich autorów nie znalazł się także jeden wieczór? Pod tym względem również nie należało się wiązać z dyrekcją krakowską, scena lwowska bowiem, jako nierównie zasobniejsza od krakowskiej, o własnych siłach co roku konkurs ogłosić może; a jeżeli prywatny przedsiębiorca, dyrektor teatru krakowskiego, na ten cel rocznie 300 zł. ofiarował, dyrekcja Towarzystwa przyjaciół sceny lwowskiej śmiało może ich przeznaczyć 600 i więcej.

W skład komitetu zawiadowczego sceny naszej weszli ostatecznie pp. Cetner, August Łoś, Moszyński, Kemplicz, Jabłonowski i Podlewski. Sprawy artystyczne prowadzi hr. Cetner, znany z rzetelnego zamiłowania dla sceny; administracyjne hr. Łoś. Panu Ładnowskiemu powierzono generalną reżyserią sceny. Że pod kierunkiem wymienionych panów scena lepiej spełniać może swe zadanie niż dotychczas, nie ulega wątpliwości. W ostatnich dniach zauważaliśmy już nawet tę korzystną zmianę w repertoarzu. Grano przeważnie sztuki oryginalne polskie.

Z nowości przedstawiono wesóły melodramat, z niemieckiego przerobiony przez pana Edwarda Blotnickiego p. t. „Pani majstrowa z Chorążczyzny“; zapowiedzianą zaś mamy nową komedią Fredry syna p. t. „Obce żywioły“, z której próby już się rozpoczęły. „Stasio“, tragedia Szajnochy, przedstawiony d. 18. bm., pod względem gry artystów powiódł się świetnie, co głównie zawdzięczyć należy pp. Ładnowskiemu i Woleńskiemu.

Wkrótce podobno zobaczymy na scenie „Barbarę Radziwiłłównę“ Felińskiego, z panią Deryng w roli tytułowej, a panem Woleńskim w roli króla Zygmunta Augusta.

Odczyty i wieczorki Towarzystwa muzycznego pożegnaliśmy z palmową niedzielą. W tym czasie właśnie mieliśmy parę koncertów, z których na wymienienie zasługują popisy panów Wagnera i Tchórznickiego, dwóch młodych pianistów. P. Tchórznicki, jako uczeń naszego Towarzystwa muzycznego, od wielu lat udział biorący we wszystkich jego produkcjach, dobrze jest już znany publiczności lwowskiej, samoistny więc ów koncert jego utrwalił tylko dawne przekonanie nasze o niepospolitych zdolnościach koncertanta. To samo już dziś da się powiedzieć i o panu Wagnerze, który gościem bawiąc w mieście naszym po raz pierwszy dawał się nam poznać publicznie. Znawcy przyznali panu Wagnerowi nie tylko talent wirtuozowski, lecz i kompozytora, w którego utworach tętni krynica szczerego natchnienia, i przebija znajomość kompletna teorii muzyki.

W księgarniach naszych zaczynają się pustki... Okropnego słowa tego nie należy jednak rozumieć tak, jakoby na półkach książek zabrakło, lecz że ruch wydawniczy i odbyty osłabł znacznie, pomimo iż takowy nigdy wogóle żywocią się nie odznaczał. Ocenienie kilku książek nowszej daty znajdzie czytelnik poniżej; jedną wszakże wiadomość z niwy literackiej, a miłą, mamy nadto do zaznaczenia tutaj. Czytamy oto właśnie ogłoszenie księgarni Polskiej, iż zamierza wydawać „Bibliotekę dziecinnych teatrów amatorskich“ i tym celem rozpisuje konkurs na utwory tego rodzaju. Myśl to istotnie bardzo szczęśliwa. Teatrzyk jest bezwątpienia najmiłą a zarazem najrozsądniejszą rozrywką dzieci, sztuk zaś odpowiednich literatura nasza posiada bardzo mało. Nie wahamy się wypowiedzieć zdanie, że autorowie się znajdują i konkurs księgarni Polskiej przysporzy nam parę dobrych sztuczek dziecinnych. Program konkursowy wymienia dwie nagrody: za najlepszy utwór 75 zł., za następny 50 zł. Za warunek kardynalny położono, by ubiegające się o premię utwory odznaczały się szlachetną i dla dzieci zrozumiałą tendencją; nie powinno zresztą obejmować nad 2 arkusze druku. Do ocenienia uproszoną ma być komisja z osób kompetentnych, a termin ostateczny do nadsyłania sztuk (pod adresem „księgarni Polskiej“) naznaczony na dzień 30. września roku bieżącego. Księgarnia, ogłaszająca konkurs, nabywa prawo jednorazowego wydania utworów nagrodą uwiecznionych, i zobowiązuje się do wydania takowych w ciągu roku, traci zaś swoje prawa, gdyby tego nie dopełniła.

Do władz krajowych liczne nadchodzą prośby, zwłaszcza nauczycieli i kształcącej się młodzieży, o zapomogi celem zwidzenia powszechnej wystawy wiedeńskiej. Nie ulega wątpliwości, że z korzyścią dla kraju byłoby umożliwienie co światlejszym umysłom poznania wszystkiego, czem dziś ludzkość pochwilić się może; ani wątpić więc, że znaczna część prośb owych będzie uwzględnioną. Swoją drogą i fundusze państwowe przyczynić się do tego powinno, ileż to bowiem milionów zapłaciła Galicya na owe kilkanaście, jakie wydano dotychczas na urządzenie wystawy!

B. K.



Drezno, w połowie kwietnia 1873.

(Nowości poetyczne: Nowe poezyi Ernesta Buławy. Odgłosy z Polesia F. M. Ejsmonta. — Obrazy p. Ernestyny Friedrichsen. — Andriollego ilustracje do p. Tadeusza.)

W tym naszym najniepoetyczniejszym z wieków, którego dzieci, począwszy od lat dwunastu, jeżeli nie wcześniej, palą papierosy i spekulują na markach pocztowych, którego anioły-niewiasty dopominają się prawa noszenia wąsów, chociaż im z nimi wcale nie do twarzy, w którym naostatek dzieją się rzeczy, o jakich nie tylko filozofom się nie śniło, ale nawet najsrożej chorobą wątroby utrapionym hypochondrykom... wychodzi jednak poezyi bardzo wiele... nie licząc tych, o których tylko głuche zdala wiadomości nas dosięgają, w przecieciu miewamy na miesiąc przynajmniej po jednym tomie. Jest tylko ta różnica dzisiejszych czasów od przedpotopowych (to jest przedstańczykowskich), że dawniej płeć piękna, młodzież, ludzie nawet poddeptani do serca brali poetyczne utwory, że je komentowano, czytano, przepisywano, i że je krytykowano nawet zajadle, ale żywo się interesując nimi; a dziś są to grobowe kwiatki, których nikt nie zrywa, które więdną na łądych. Historycy literatury, jeżeli historia literatury dzisiejszej będzie miała dziejopisów, trudne znajdą przed sobą zadanie, gdy im przyjdzie mówić o wrażeniu płodów muzy na współczesnych. Współcześni płodami wcale innemi tak są mocno zajęci, iż wcale tych nie kosztują. Tyle rzeczywiście ślicznych rzeczy przeszło bez rozgłosu! Moglibyśmy cytować, lecz boli wspomnienie. W Poznańskim, w Galilei, jeżeli kto pisze, nuci, pracuje, to chyba dla kongresówki i przyległych krajów, dla Sybiru i stepów Orenburskich, książka polska bowiem w krajach podległych ks. Bismarkowi i hr. Andrassy, dzięki stańczykowstwu i propagandzie indyferentyzmu, jest tak dobrze jak zakazana. Zakazuje ją dobry ton, ks. Arcybiskup, ks. Koźmian, uszczęśliwione tem skąpstwo i lenistwo, wreszcie wszechwładna moda... i Tygodnik katolicki z Przeglądem lwowskim i orthodoxya wywołana prześladowaniem... i... lepiej nie mówmy, co więcej. Z powołania sprawozdawcy my musimy na przekór wszystkim tym zakazom mówić o tem, co u nas wychodzi. A ponieważ o poezyach rzecz, naprzód o wyszłych u was we Lwowie, nowych poezyach Ernesta Buławy (Seyf. i Czajkow. 1872 8<sup>o</sup> str. 190). Dziwny to zaprawdę zbiorek... na jego kartkach leży w szmaty złote podarte życie, które drga jeszcze i płacze i uśmiecha się smutnie. Charakterem tych poezyi nie wytworny kunszt Ely'ego, nie elegancja i zręczność, nie wykończenie i ogląda, ale fantazja bujna, ale energia, zbytek czucia i siły młodej a niepohamowanej jeszcze i niespokojnej. Pieśniarz porywa i ujmuje tą potęgą młodości, której lata ukołysać nie mogły. Natchnienie przychodzi mu w wędrowkach po świecie, wybranych, zda się, aby je spotęgowały... Czytasz pod nimi Ateny... Maraton, Rzym, Neapol, Sorrento, Perugia, Terni, Bolonia. Pełno tu rzeczy zaczętych i niedospiewanych, pochwycanych w biegu i rzuconych pod wrażeniem nowem. We wszystkich gorące czuć serce, szlachetną naturę, coś polskiego, naszego, rodzimego... rzekłbyś jeszcze z tych czasów, gdy Słowacki, Krasiński i Mickiewicz z Odyńcem po Europie błądzili, pojąc się poezją już dla innych narodów nie widomą i nie pochwycaną. Wszy-

stko zajmuje poetę, Sfinx odkopany w Megarze, Prometeusz Miniego, kopuła św. Piotra, listek trawy, iza rosy, szum morza, kolibr o malowanych skrzydłach, psalmy Maxymiliana Berni i Ossyan... Chcielibyśmy coś przytoczyć, lecz wybór trudny... otwieramy książkę na los... Oto obraz z trenu nad Sekwanną:

Stolico ludów! z popiołem na skroni,  
O labiryncie domów rozwalony!  
Jak mi tu straszno! jakżem przerażony!  
Ja, com cię widział w słonecznej koronie!  
Ulic korytem płynie ludność smutna,  
Jedni zwątpieni, a inni milczący,  
Inni bez planu zemstą zgrzytający,  
A razem wszystko jak Syon pokutna!  
W gruzach Tuleryów, wśród przybytku pychy,  
Złoczonych kolumn depcą harde czoła,  
Posągów głowy księżyc olśnił cichy,  
Szum miasta huczy jak morze dokoła.  
I łzawo toczy mętny nurt Sekwanna,  
Przeskakujących mostów przestrzeń długa,  
Jak Nioba groźna Notre-dame stoi sama;  
Kiedyż Joanna pojawi się druga!

Hotel de ville! o posągów legionie!  
Oślepył okien szeregi płaczące,  
Strzaskanych kolumn rytmiczne ustronie,  
O góry gruzów, lzy wywołujące!  
Siadłem na głazie, a ludzie przechodni  
Tak obojętnie mi odpowiadali...

Są to po większej części, jak się zdaje, improwizacye; poeta często, jakby umyślnie szatę zewnętrzną zaniedbał, lecz treści i ducha wiele... Nie pierwsze to próby tego talentu, który skupić się musi, ovladnąć sobą, nie ledwiebym powiedział, ostygnąć nieco, aby go ludzie zrozumieli.

Jakże znowu dziwnie, obok tych poezyi z całego świata, brzmią „Odgłosy z Polesia“ młodego F. M. Ejsmonta (druk Fedorowa w Kijowie 2 części).

Gdy mi tęskno, lirenkę  
Biore, stroję do ucha,  
Śpiewam sobie piosenkę;  
Wietrzyk chciwie ją słucha:  
I po lesie, po błoni  
Płynie piosenka ma cicha,  
Nóta nótę tam goni,  
Pierś wolnością oddycha...  
Kładnę papier na stole,  
Na nim skargi me kręślę,  
Jemu zwierzam me bole  
I co marzę, co myślę...

Tak się zaczyna zbiorek Ejsmonta. Dziwnie tu rzeczy spotykamy.... Nie najmniej ciekawe są ustępy naprzykład: Ziemia przodków, zapelniona kropkami, i Teraźniejszość, wśród której kropek, stoi jeden wykrzyknik. Okładka to tłumaczy i Kijów na niej. Gdybyśmy autorowi, o którego talencie nie wątpimy, życzyć co mogli, to tylko, aby trochę postarzał. Tłumaczenia ze słowiańskich pieśni różnych, ułamki dramatów i poematów, okolicznościowe poezye, dwa tomiki zapelniają. Wspominaliśmy gdzie indziej obszerniej o pamiętniku F. M. Moje przygody, opisującym w sposób bardzo zajmujący czasy przedrewolucyjne 1820—1830... Polecamy go jak najgoręcej czytelnikom Strzechy.



Z dzieł sztuki takie mnóstwo wspominają ciągle pisma nasze i niemieckie, iż na tem polu zdaje się żywszą jest i szczęśliwszą działalność nasza, niż w literaturze. Nie może ani powinno to zadziwiać; nasza przeszłość, dzieje, sama nawet teraźniejszości barwa, w której miga to, co już przepłynęło bezpowrotnie, są znać tak pociągającymi, iż obcy się u nas często zapożyczają treścią swych kompozycji. Jak sławny sztycharz Dela Bella fantastyczne polskie stroje lubił odtwarzać, tak i dziś Robert Fleury malował nasze powstanie, a nie jeden Niemiec i Anglik odgadywał poetyczną i malowniczą Polskę. Pani Jerichau — Baumann ze wspomnień młodości odtworzyła Umierającego Polaka, arcydzieło poetycznego realizmu, a panna Ernestyna Friedrichsen, której Flisaków powracających dała Strzecha, odmalowała świeżo Polskich powstańców, scenę poruszającą, której piękny drzeworyt przyniósł ostatni numer Bazaru. Nie wątpimy, iż go powtórzyście w swem piśmie. Kompozycya warta jest ze wszech miar rozpowszechnienia. Panna Friedrichsen słowa po polsku nie umie, rodem z Gdańska, tam się spotkała z Polską i jej malowniczą fizygnomią; polskie przedmioty stały się niemal jej wyłącznem zadaniem. Polscy powstańcy daleko są szerszych rozmiarów utworem niż Flisacy. Jestto scena w podziemiu, a bohaterami jej ludzie biedni.. Na ziemi i słomie leżą ranni i umierający, krzątają się koło nich miłosierne niewiasty... Jednemu z nich kobieta przynosi strawę ciepłą, dziecię z nią idące dźwiga dzbanek. Postać to ślicznie narysowana, równie jak kłęzący powstaniec, który osłabłego podnosi... Obok drugi... umarł już, jak się zdaje; stara kobieta, zadumana, obca, przykłęka nad nim; dzieciak, co śmierci nie rozumie, siedzi i bawi się kłębuszkiem, który wypadł z rąk matki... Ta oparta o mur, oczy sobie zasłania i płacze... Na dalszych planach kosyniery opowiadają o walce;

rannego w głowę opatruje siostra czy matka. Układ kompozycji, linie jej, oświecenie, całość, znamionują w autorce prawdziwą artystkę. Znamy już z Flisaków i innych prac p. Friedrichsen nieporównaną jej technikę, która stoi na równi z pomysłem, jeżeli go jeszcze nie przewyższa. I tu typy polskich twarzy, prawda w ubiorach, w akcesoryach jak najściślej są zachowane... Wpatrzywszy się w ten obraz, czujemy owładającą nami tę wielką boleść, z której dziś szydą nikczemni... Jak wiecie, jubileusz Kopernikowy natchnął wielu z naszych artystów. Obraz Matejki podziwia w tej chwili i sądzi Warszawa, która już złożyła u stóp jego tysiąc kilkaset rubli na stypendyum Kopernika — Matejki. Równy prawie rozgłos i uznanie znalazł karton Gersona, artysty, którego talent przechodzi o wiele sławę. Gerson, jako rysownik i kompozytor mianowicie, do znakomitości naszych należy. Z ilustratorów, których liczne pisma obrazowe w Warszawie tylu zrodziły, szczególną uwagę zwraca Andriolli, słusznie polskim G. Doré nazwać się mogący. Andriolli, który, choć nazwisko ma włoskie, jest Litwinem i młode lata spędził w Litwie, ukochał ją i zna jak macierz rodzoną, przedsiębierze podobno ilustrować pana Tadeusza, a to, co już wykonał, ma być nadzwyczaj charakterystycznym i pięknem. Ale gdzież znajdzie u nas wydawcę? Pan J. K. Żupański od lat kilku trzyma rysunki Kossaka i Zaleskiego gotowe do pana Tadeusza i wydać ich nie śmie, widząc, jaki los spotyka wydawnictwa nasze... Gdyby pan Tadeusz w królestwie przeszedł cały, tam chyba, gdzie jeszcze żywie resztką ducha pocziwego, mógłby się znaleźć nakładca i nabywcy. W Galicyi ilustrowany ten poemat rachowaćby musiał chyba na jednego prenumeratora...

J. I. KRASZEWSKI.

## ZE ŚWIATA.

(Kodex karny Czernogórców). Niedawno donoszono w dziennikach, że profesor Bogicsicz z Odessy udał się do Cetynii dla ułożenia kodexa czernogórskiego. Otóż pokazało się teraz, że Czernogórcy posiadają już od dłuższego czasu kodex karny, a mianowicie został on na dniu 23. kwietnia 1855 wydrukowany i wydany w tylu egzemplarzach, „ażeby — jak powiedziano w przedmowie — mógł każdy Czernogórcę posiadać go, jeżeli tylko umie czytać; kto zaś nie umie czytać, temu niech drugi przeczyta.“ Niektóre paragrafy tego najzwyczajniejszego statutu są dość ciekawe; tak na przykład paragraf, dotyczący obrony kraju, opiewa: „Jeżeli gdziekolwiek znajdzie się tchórz, należy mu natychmiast odebrać wszelką broń, i nie może on już nigdy nosić jej przez całe życie, ani też doznawać szacunku od nikogo; prócz tego należy mu przywiązać fartuch niewieści, ażeby cały lud wiedział, że on niema męskiego serca w piersiach.“ — Obrona własna jest w najobszerniejszy sposób dozwolona: „Kto Czernogórcę kopnie nogą lub uderzy cybuchem, płaci zato 50 dukatów kary pieniężnej; jeżeli znieważony zabije go uniesiony gniewem, wolnym jest od wszelkiej odpowiedzialności, jak również za zabicie złodzieja, którego schwyci na gorącym uczynku.“ — Pojedynek, ale bez świadków,

jest dozwolony, jak również wykradzenie dziewczyny: „Jeżeli dziewczyna pójdzie dobrowolnie bez wiedzy rodziców za swoim kochankiem, nie może ich spotkać żadna kara, gdyż miłość ich połączyła.“ Surowe są postanowienia przeciw wiarołomnym małżonkom: „Jeżeli Czernogórcy sprzyniewierzy się żona, a mąż przydybie ją z kochankiem, wolno mu zabić jedno lub oboje; ale jeśli żona ucieknie od niego, nie wolno mu dłużej przebywać w naszym kraju.“

(Osobliwszy artykuł mody). Pewien Francuz, imieniem Alfons Benedict, pojechał do Ameryki szukać szczęścia, które w rodzinnym kraju zawsze się odwracało od niego. Ale i w Nowym świecie nie lepiej mu się wiodło; ze dwadzieścia razy uciulał mały majątek, i tyleż razy znowu go utracił. Aż oto pewnego razu spotkał w Nowej Grenadzie żyda, który ofiarował mu swoją pomoc. Radził on Benedictowi, ażeby odkupił jego kram z towarami, ale z grubą lichwą, gdyż za 10,000 franków rzeczywistej wartości żądał zapisu na 25,000 fr. Zmuszony niedostatkiem zgodził się Francuz na to kupno, tylko gdy pomiędzy wykazanymi towarami znalazł opłatki listowe, obliczone na 500 franków, zaczął się wahać. Gdzież on pomiędzy Indyanami znajdzie kupca na opłatki? A przecież tylko u nich mógłby znaleźć odbyty na inne towary. Żyd wzruszył ramionami, przed-



stawiając mu, że zawsze jest lepiej, mieć dobrze zaopatrzony skład towarów; zresztą dodał, że kupno nie może przyjść do skutku, jeźliby którykolwiek artykuł został odrzucony. Nie było rady; Benedict musiał zgodzić się na wszystko, i westchnąwszy do Boga wyruszył ku dolinie Popayan, gdzie co roku odbywa się wielki jarmark, odwiedzany licznie przez szczepy indyjskie. Podróż odbyła się szczęśliwie; Francuz rozłożył swoje towary i ściągnął wkrótce licznych amatorów. Jakiś naczelnik indyjski oglądał z wielką ciekawością opłatki, potem zamknął ostrożnie pudełko, schował je i zapłacił za nie dwie szczypty złota; po nim przyszedli wnet inni, dopytując się o opłatki, i w krótkim czasie zaczęto się o nie tak mocno dobijać, że Benedict podniósł cenę na 10 szczypt złota, i nie odstraszył nią wcale kupców, których przeciwnie coraz więcej się zgłaszało. Z końcem jarmarku sprzedał Benedict cały zasób opłatków po ogromnych cenach, i stał się od razu bogaczem. Ale na cóż przydały się Indyanom te opłatki? Oto przekonał się wkrótce z niemałym zadziwieniem, że oblepiali oni sobie niemi twarz i całe ciało, i paradowali dumni z posiadania takiej ozdoby.

(Jak się perfumują damy arabskie). Damy szczęśliwej Arabi mają właściwy i dość mitręzny sposób perfumowania się, ale też i skutek jego jest istotnie doskonały. Wygrzebują one w podłodze chaty lub namiotu, w którym mieszkają, dołek tak głęboki, że możnaby wstawić weń butelkę szampana, napęniając go węglami drzewnymi, które podpalają, albo tylko żarem, i rzucają na to garść wonnych ziół i żywic. I jak tylko z dołka tego zaczęła wznosić się gorąca, wonne dymy, przykucząc nad nim, rozszerzając nad sobą suknię w taki sposób, że jakby namiot zakrywa od samej szyi ich ciało i dołek, i tym sposobem wstrzymuje wznoszące się zapachy. Skutkiem wyższej temperatury, powstającej pod tą osłoną, zaczyna ciało lekko się pocić, skóra wilgotnieje, pory otwierają się, i tym sposobem przesiąka cała skóra wonnymi zapachy. Z wygaśnięciem ognia kończy się ta procedura, a wtedy nie tylko ciało, ale i suknia użyta do osłony są tak mocno nasycone wonią, że jeźli zejdzie się razem kilka dam, można już zdaleka za powiewem wiatru poczuć od nich tę perfumę. Zwyczajnie używają one do tego mieszaniny z imbiru, goździków, cynamonu, kadzidla, myrry i rodzaju trawy morskiej, pochodzącej z morza Czerwonego. Stosunek tych pachnideł zależy od upodobania.

(Sześćdziesiąt taktów pauzy). Pewien zmarły niedawno, a z dziwactwa swego powszechnie znany tympanista orkiestry teatralnej w Berlinie lubił często zaglądać do kieliszka. Raz podczas wielkiej, pięcioaktowej opery uczuł potrzebę posilenia swego arcyzmu; wysychał mu język, bo już prawie dwie godziny znosił tantalowe męki przy pulpicie. Aż oto w 4 akcie nadarza się chwila zbawienia — sześćdziesiąt taktów pauzy! Byłoby zanadto dobra sposobność, by z niej nie korzystać, zwłaszcza że restauracya, albo raczej apteka kminkówki, znajdowała się tylko o parę kroków od teatru. Zaledwie tedy przebrzmiała ostatnia jego nuta na tympanie, złożył swoje pałki, wypadł z orkiestry jakby przyciśnięty nieodzowną koniecznością, i spieszy, licząc swoje pauzy, 1, 2, 3, 4, krokiem miarowym do szynku, 5, 6, 7, 8, 9, 10 — wchodzi — 11, 12 — staje przed szynkarzem. 13 — dobry wieczór — 14, 15 — kminkówki!

— 16 — ale prędko — 17, 18, 19 — oto jest! — dziękuję (pije) — 20, 21, 22, 23, 24, — (pije), brrr! 25, 26 — oto jest — 27, 28, 29, mój szóstak! — 30, 31, jeszcze raz! — 32, 33, 34 (kmin-kówka nalana) — 35 (pije) — 36, 37, 38, 39, 40 — oto jest — 41 — mój szóstak! — 42, 43 — dobranoc — 44 — życzę panu — 45, 46 miłego — 47 — i spokojnego snu. 50, 51, 52 — spieszy napowrót na swoje miejsce w orkiestrze, z 59 taktom siedzi już z pałkami w ręku, a licząc 60 — bum! uderza w swój instrument z taką dokładnością, jak gdyby wcale nie ruszał się z miejsca. — To się nazywa korzystać napewno z swojego czasu.

(Abejlard i Heloiza po śmierci). Historia najślawniejszej w świecie „pary miłosnej“, Abejlarda i Heloizy, jest powszechnie znana, i los tych wiernych a nieszczęśliwych kochanków wycisnął już niejedną łzę gorącą z pięknych i niepięknych oczu. Mało kto jednak będzie wiedział o tem, że tej parze, tak srodze doświadczanej za życia, nawet śmierć nie zapewniła trwale tak gorąco upragnionego połączenia, ani też użyczyła jej tego spokoju, jakiego każdy z nas spodziewa się po ukończeniu swojej pielgrzymki doczesnej. Oto co opowiadają z wiarogodnego źródła o kolejach, jakie przebywać musiały zwłoki tych kochanków od czasu ich pogrzebania:

Abejlard, który pochowany został w opactwie St. Marcel, w departamencie Chalon-sur-Saone, musiał w r. 1145 zmienić po raz pierwszy miejsce swojego spoczynku, zwłoki jego bowiem zostały przeniesione do opactwa w Paraclet. Tam złożono też we 20 lat potem zwłoki Heloizy obok jej kochanka, i wzniesiono dla obojga wspólny pomnik, ten sam, pod którym jeszcze dziś spoczywają, i którego restauracya w tej chwili się odbywa. Ale nawet i ten pomnik nie zabezpieczył im trwałego spokoju, owszem musiał wraz z nimi odbywać kilkakrotną wędrówkę.

Najprzód w r. 1479 przeniesiono go z kaplicy w Paraclet do kościoła parafialnego, przy którejto sposobności rozłączono także obadwa trupy czyli szkielety, które dotąd spoczywały w jednej trumnie. Każda z nich otrzymała osobną trumnę, które ustawiono po obu stronach wielkiego chóru.

Mineło kilka wieków, i kochankowie, chociaż rozdzieleni z sobą, spoczywali przecież spokojnie pod jednym dachem; aż wreszcie rewolucya francuzka, przed którą nic dawnego ostać się nie mogło, zakłóciła nanowo ich spokojność. Obadwa te szkielety zostały przeniesione w r. 1792 do kościoła w Nogent-sur-Seine. Wzniesiono im tu sarkofag, ale przedzielono je ścianą ołowianą. Rok 1800 przeniósł ich pomnik do ogrodu przy muzeum narodowych starożytności, ale i tam nie miał stale pozostać. Restauracya z r. 1815 naznaczyła mu miejsce w kościele w St. Germain-des-Prés, a zamtąd dostał się na koniec w r. 1820 na cmentarz Père-la-Chaise, gdzie prawdopodobnie znalazł już trwały spoczynek, jeźli wogóle może być co trwałego na tym świecie.

(Pomyłka drukarska). Redaktor paryskiego dziennika „Jockey“, któremu niedawno pomyłka drukarska popsula naczelną artykuł, opowiada przy sprostowaniu, że za panowania Ludwika Filipa stał się „Constitutionnel“ ofiarą podobnej, ale nierównie przykrzejszej pomyłki. Było to w czasie przesilenia ministerstwa. Pewnego dnia więc czytano w „Constitutionnelu“: „Jego król. Mość powołał wczoraj pana Thiersa do Tuileryów



i porucił mu utworzenie nowego gabinetu. Ów znakomity mąż stanu odpowiedział Jego Mości królowi: „Jednego tylko żałuję, a to jest, że nie mogę panu skrócić szyi jak indykowi.“ O dwie zaś lub trzy szpalty niżej znajdował się taki ustęp: „Śledztwo sądowe odniosło wkrótce pożądany skutek. Morderca z ulicy Pont de fer został w osławionem miejscu schwytany. Gdy sędzia śledczy rozpoczął indagacyą, ośmielił się ten nikczemnik znieważać go słowami, które świadczą o niesłychanej zatwardziałości jego sumienia: „Bóg i wszyscy ludzie są mi świadkami, że nie pragnęłam nigdy innego zaszczytu, jak służyć wiernie królowi i mojej ojczyźnie.“

(Najskuteczniejszy środek). Gdy za Ludwika XV. wszedł w modę kabriolet, należało do dobrego tonu, aby damy powoziły swemi dryndulkami. Najpiękniejsze jednak ręczki nie zawsze były najręczniejsze, i prawie codziennie zdarzały się wypadki. Król wezwał tedy swego ministra policyi, d'Argenson, i prosił go o obmyślenie środków, aby życie i zdrowie przechodniów nie było zagrożone. „Chętnie uczynię, co będę mógł — odpowiedział d'Argenson — Ale czy Wasza król. Mość życzy sobie, ażeby zle całkiem ustało?“ — „Parbleu! rozumie się.“ — „W takim razie dozwól mi Wasza król. Mość działać swobodnie.“ — Na drugi dzień ogłoszono rozporządzenie królewskie, że żadnej damie niżej 30stu lat wieku nie wolno powozić kabrioletem. We dwadzieścia cztery godzin potem nie widziano na ulicach Paryża ani jednej dryndulki, powożonej ręką niewieścią. Żadna Paryżanka nie miała odwagi przyznać się do tak sędziwego wieku.

(Stworzenie Prusaka). Korespondencya z Dolnej Alzacyi, umieszczona w berlińskim dzienniku „Spennerrische Ztg.“, ubolewa wielce nad panującą tamże nienawiścią ku nowemu rządowi, i przytacza na dowód następujące zdarzenie: W pewnej szkółce wiejskiej nauczyciel spytany przez ucznia, skąd się wzięli Prusacy, odpowiedział temi słowy: „Słyszałyście już, moje kochane dzieci, że Pan Bóg ulepił pierwszego człowieka z gliny i potem tchnął w niego duszę. Widząc to szatan, który chciałby we wszystkim naśladować Boga, ulepił także podobną postać. Ale ponieważ nie było w jego mocy, obdarzyć ją życiem, udał się z swoim bałwanem do Pana Boga i prosił, ażeby go tchnieniem swem ożywił. Na to rzekł Pan Bóg: „Ależ jemu brakuje serca.“ — „To nic nie szkodzi — odpowiedział szatan — na Prusaka jest on wcale dobry.“ — I tym sposobem stworzony został Prusak.

(Jak Marcin Luther oceniał stan nauczycielski). „Chciałbym — są to jego własne słowa — żeby nikogo nie obierano na kaznodzieję, ktoby wprzód nie był nauczycielem. Teraz chciałby każdy młokos zostać odrazu kapłanem, a unika ciężkiej pracy w szkole. Ale jeśli kto był z dziesięć lat nauczycielem, ten może z spokojnem sumieniem ustąpić, bo praca to ciężka, a mało ją cenią. A przecież w mieście jest nauczyciel równie potrzebnym, jak pleban lub burmistrz. Bez chłopów i szlachty można się obyć, ale bez szkół nie, bo one muszą światem rządzić. Widzimy dziś (około r. 1520), że żaden władca nie jest panem, bo musi zasięgać rady jurysty lub teologa. Nie umieją oni nic, a wstydzą się uczyć. Dlatego musi

ze szkół wychodzić wszystko dobre. I gdybym nie był kapłanem, to nie znam żadnego stanu na ziemi, który byłby miłszym nad stan nauczycielski. Ale nie trzeba zapatrywać się nań tak, jak go świat uważa i nagradza, lecz jak go Bóg ceni i uczy na sądzie ostatecznym!“ Weźcież to do serca panowie ministrowie oświaty!

(Najstarszym dotąd człowiekiem na świecie) był Węgier, imieniem Petrac Csartan, który urodził się w r. 1539 w Temeszwarze z ubogich rodziców, a umarł 5 stycznia 1724, a więc przyżywszy 185 lat. Zamlodu był pastuchem, a potem żył z jałmużny. W ostatnich latach życia chodził zgarbiony, ale mimo to był o głowę wyższy od swego syna, który również dożył 100 lat. Był on wyznania greckiego, i przez całe życie zachowywał ściśle przepisane posty. Na swoich kolanach wykołysał pra-prawnuków, i umarł na rękę jednego z swoich wnuków. Żył w trzech wiekach i zapamiętał panowanie królów: Zapolyego, Ferdynanda I., Maxymiliana I., Rudolfa, Macieja II., Ferdynanda II., III. i IV., Leopolda I., Józefa I., i Karola III. Przed śmiercią kazał go feldmarszałek hr. Wallis portretować, i portret ten znajduje się podobno dotąd w posiadaniu tej familii.

(Największe honorarium) pomiędzy wszystkimi poetami pobiera poeta angielski Tennyson. Tak np. otrzymał on za jeden z najsłabszych swoich poematów pod tytułem: „Sny morskie“, po 10 funtów szterlingów za każdy wiersz; a jest w nim 313 wierszy. Gdyby Lope de Vega, znany jako najpłodniejszy poeta dotychczas, którego dzieła obejmują 21,316.000 wierszy, otrzymał był za każdy wiersz 10 funtów szterlingów, jakąż olbrzymią sumę wynosiłoby jego honorarium, olbrzymią nawet w naszym wieku, gdzie pożyczki państwowe liczą się już na miliardy. Mimo to jednak było honorarium Lopego, nawet w porównaniu z dzisiejszemi stóśkami, dość znakomite, gdyż podług podania jego ucznia Montalva otrzymał Lope 80.000 dukatów za swoje komedye, a 6000 dukatów za swoich autorów. Jakżeż rażąco odbija od tych sum honorarium Milтона, który za swój „Raj stracony“ otrzymał wszystkiego 5 funtów szterlingów; lub owe honorarium w kwocie 20 talarów, które księgarz Mylius w Berlinie zapłacił po długim namyśle Goethemu za jego „Stellę“, Goethemu, który już wtedy wślawił się w całych Niemczech kilkoma dziełami. „Na koniec“ — utyskiwał Mylius po wypłaceniu tych 20 talarów w liście do swego przyjaciela — „nakoniec gotów Goethe zażądać 100 luidorów za swojego „Fausta“!

(Łoże z baldachinem dla czarnej monarchini.) W Hamburgu sporządzone zostało właśnie przepyszne łoże dla królowej wysp sandwichskich, Pomary. Jest to prawdziwie mistrzowskie dzieło sztuki stolarskiej i snycerskiej, którego wartość obliczają na 5000 grzywień srebra. Łożysko jest 8 stóp szerokie i odpowiedniej długości, a nad łóżkiem z drzewa klonowego i satynowego, o pięknych złożonych rzeźbach, wznosi się przepyszny baldachin, sporządzony z karminowej gazy. Łoże to odpłynie wkrótce statkiem parowym do Otahaiti, ażeby czarna monarchini mogła na nim śnić po królewsku.



## Nowe książki.

Patryarcha, powieść przez Adama Belcickiego, 2. tomy. Kraków, nakładem Wydawnictwa „Kraju” 1872.

Na tych samych kartkach niedawno pisaliśmy chlubną ocenę powieści tegoż samego autora p. t. „Dług honorowy”. Teraz przypada nam zgoła inny obowiązek. „Patryarcha” jest jedną z najosobliwszych powieści, jakie w ostatnich czasach się pojawiły. Osobliwość ta jednak nie przyczynia się bynajmniej do wartości utworu. I owszem, do licznych błędów układu i przeprowadzenia, przylacza się jeszcze dziwactwo pomysłu i skazuje ostatecznie pracę tę na potępienie. — Na usprawiedliwienie słów naszych wystarczyłoby przytoczyć treść rzeczy; jednakże brak miejsca nie pozwala nam na ten zbytek. Dostyć będzie powiedzieć, że powieść ta wygląda jak najhazardowniejszy utwór „Ponson du Terraila.” Nie brak tu ani drzwi skrytych i tajemnic pod podłogą, ani czarnego charakteru, jak węgiel, ani przewrotnej intrygującej bohaterki, ani zadziwiających i nieprawdopodobnych zbrodni, epizodów, zamachów. Rzecz dzieje się w bajecznej jakiejś okolicy, pod niewiadomo jakim prawem, cudowna jak bajka, z pretensjami do tendencyjności i psychologicznych spostrzeżeń chybionemi. Co do owej psychologii: to żadna z działających osób nie wytrzymuje charakteru na dwudziestu stronicach nawet, oprócz zawily chyba, intryganta. Znać z tego i z wielu innych niekonsekwencji, nieusprawiedliwionych sytuacji, nawet z formy, że rzecz cała pisana była na feljeton, prawie bez planu. Bohater tytułowy „Patryarcha” ma szlachetny jakiś obłęd i chwilami śmieszny jest prawie, choć autor chce go mieć groźnym niekiedy, a dramatycznym i wzniosłym wszędzie.

Hilferding czy ksiądz Malinowski, Moskale czy Polacy dadzą Słowianom wszechsłowiańskie abecadło? Pytania, na które czytelnik znajdzie odpowiedź w niniejszem tłumaczeniu broszury Baudouina de Courtenay, pod tyt.: Kilka słów z powodu „Wszechsłowiańskiego abecadła.” Wydał Ludwik Rzepecki, Fil. doktor w Poznaniu.

Ksiądz Franc. Ksaw. Malinowski. Szkic biograficzny przez Klemensa Kanteckiego. We Lwowie, nakładem księgarni Wład. Hoppego w Drohobyczu 1873.

Dwie powyżej wymienione publikacje nawzajem się niejako uzupełniają. P. Kantecki, który wyjątek ze swej pracy wydrukował już w Gazecie Narodowej, podawszy nieznane dotąd szczegóły z życia ks. Malinowskiego, określił drogę, jaką kroczył uczony gramatyk, zanim osiągnął dzisiejsze rezultaty na polu lingwistyki słowiańskiej; a mówiąc o jego abecadle wszechsłowiańskiem, wspominał o gruntownej krytyce, jaka ze strony prof. Baudouin de Courtenay spotkała takąż pracę Hilferdinga.

Książka p. Rzepeckiego daje nam poznać samą rozprawę pana Baudouin'a, wykazującą dowodnie, iż wszelkie próby, utworzenia alfabetu wszechsłowiańskiego na podstawie graždanki czy kyrylicy, pozostaną na zawsze czczą mrzonką.

Obiedwie broszury ważne są jako przyczynki do historii sporów gramatycznych; przedmowa prof. Rzepeckiego odznacza się właściwą mu siłą i dosadnością wyrażenia, jednością i pięknnością języka.

### Ważny powód.



Feldwebel. Cóż to, verfluchte Hallunken! — wracacie dopiero teraz, po capenstrajchu? Ja was każe krumszlisować.

Gefreiter. Meldujem pokornie, panie feleber, szo tomu wynna ta ferflikste Gans. My wyhrałyśmo jo na praznyku, i hadałyśmo sobi zaraz: „To bude dla pana felebra.” Ale kiedyśmo iszły czerez łąku, hde pasły sia husy, ta szelma wychopyła sia z ruku, i musyłyśmo ze dwi sztundy za neju uhaniaty. Najże pan feleber budut łaskawy, darowaty nam, taj uraczyty sia toju husku.

Feldwebel. No, to je wasz Glik, żeście mieli tak ważny powód. A teraz rechtsum — marsz!

## Poczta »Strzechy.«

Pani J. W. w R...

Wiersz: „Chwila marzenia” zanadto jest słaby, by mógł być umieszczony.

Panu G. R. w Krakowie:

Powiatki małe, tak zwane nowe, byłyby dla nas bardzo pożądane. Jeżeli Pan masz takie, prosimy o ich przysłanie.

Panu A. M. w Kołomyi:

Rzeczy tłumaczonych nie przyjmujemy.

Pani E. we Lwowie:

Praca pańska drukowaną nie będzie. Odebrać ją można w księgarni.